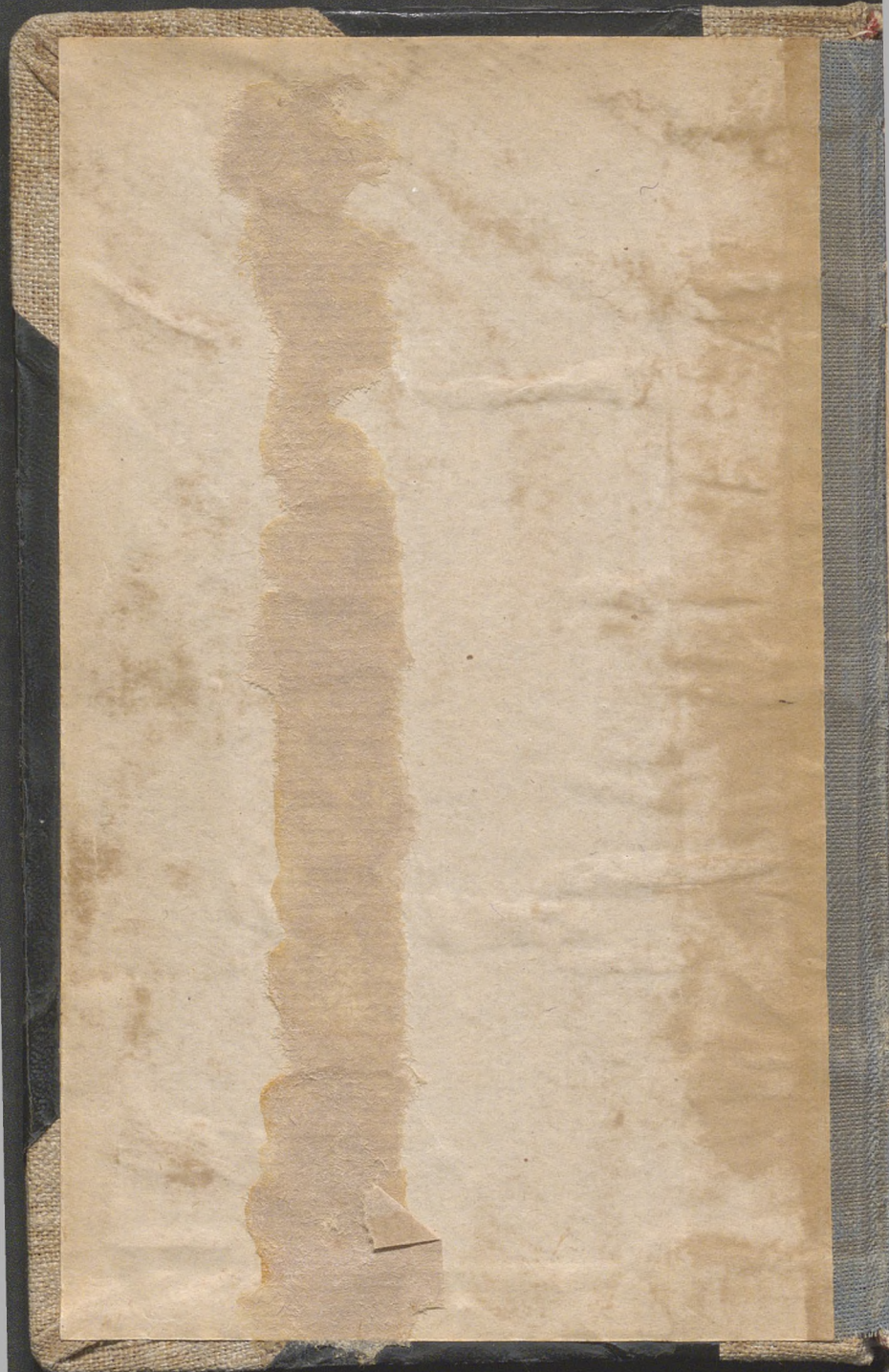
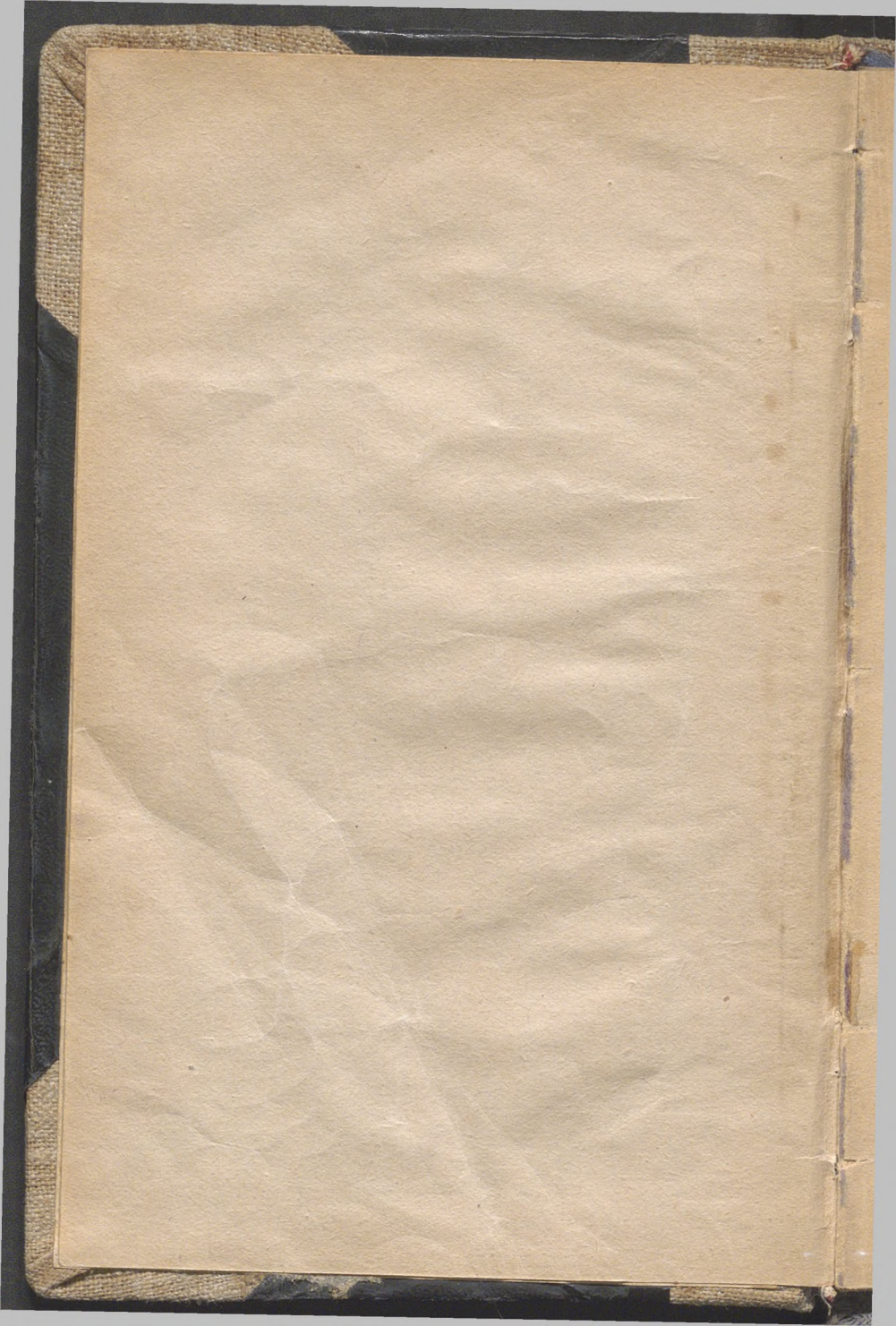


1109



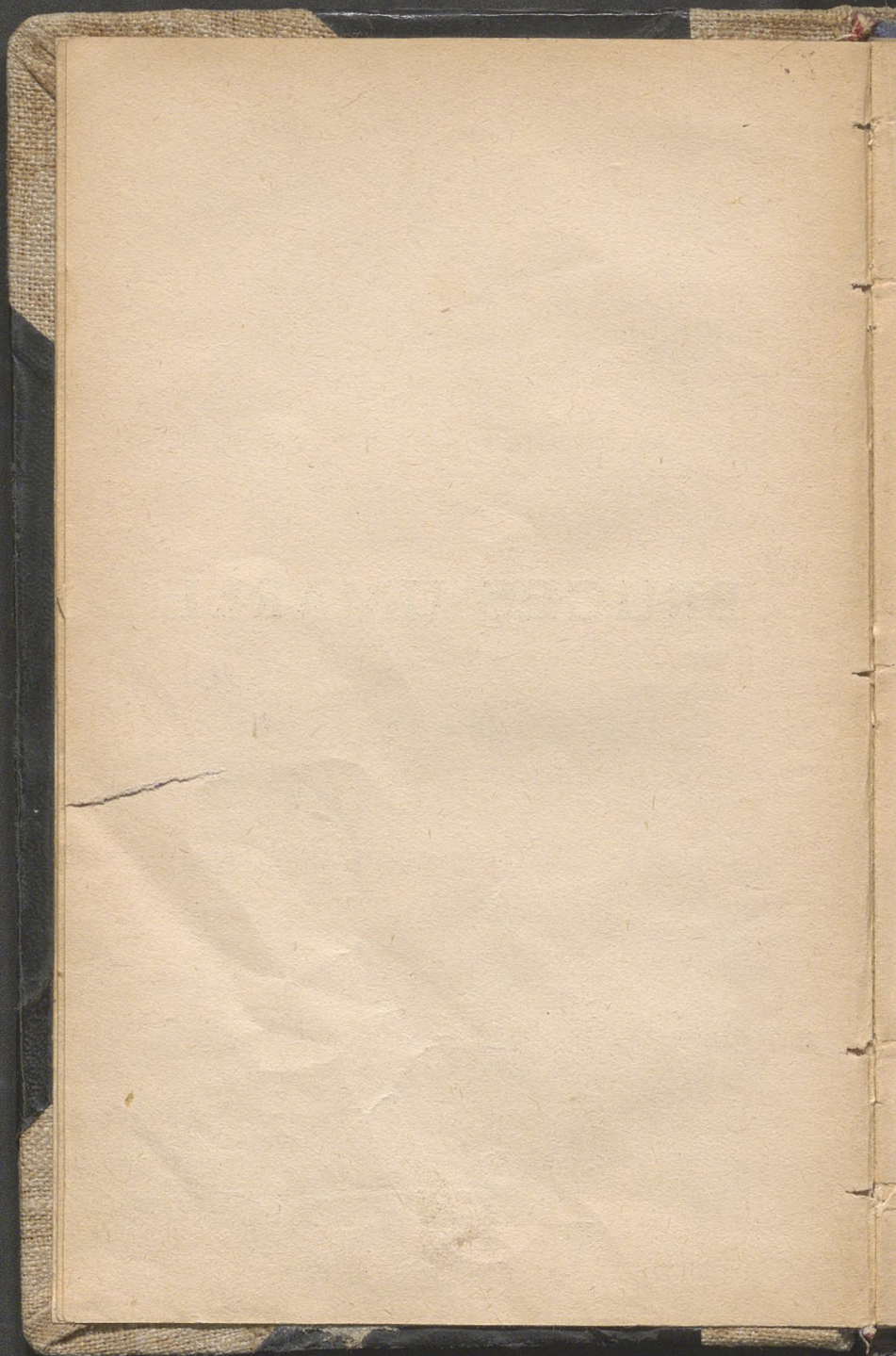
I. 849.453



Josephine M. H. H.

BRUGES UMARŁE





15671.

52

G. Rodenbach.

BRUGES UMARŁE

Przekład N. B.



Mieczysław Banaś



Biblioteka Dzieł Wyborowych

WARSZAWA

Druk L. Bogusławskiego, Świętokrzyska № 11

BIBLIOTEKI
BN
NARODOWA

I.849.453

④

Od Redakcyi.

W chwili, kiedy cały świat ma oczy zwrócone na Belgię, kiedy tragedia małego kraju i małego narodu znalazła oddźwięk we wszystkich sercach, a bohaterstwo króla Alberta i jego żołnierzy zapewniło nową nieśmiertelną kartę w dziejach ojczyźnie Jerzego Rodenbacha, oddajemy do rąk czytelników przedziwnie smętną i przedziwnie piękną książkę tego poety, rozumiejącego, jak nikt inny, duszę miast belgijskich, duszę starych murów, zapatrzonych w drzemiące wody kanałów Bruggii.

Wiele miast belgijskich leży w gruzach. Bruges starodawne ocalało, aczkolwiek wrzawa wojenna i huk armat zamąciły także i jego ciszę.

Chowa ono, jak w szkatule drogocennej, niejedną legendę dawnej Belgii i melancholijnym urokiem swoim przyciągało zawsze i przyciągać będzie ku sobie ludzi, miłujących poezję i rozumiejących szept, idący skroś dalekie wieki od umartej przeszłości.

Mistrzem w chwytniu tych szeptów był Rodenbach. Jego „Dzwonnik“ i jego „Bruges umarte“ są wymownem tego świadectwem, narówni z szeregiem przepięknych liryk, należących do perel poezyi współczesnej.

Z. D.

Przedmowa.

W tem studyum namiętności ludzkiej chodziło mi nadewszystko o wywołanie wizyi Miasta, jako głównej osoby działającej, dostrojonej do stanów duszy; osoby, która radzi, odradza, pobudza do czynu. Bruges, przezemnie wybrane, staje się więc prawie ludzką istotą. Wszyscy, którzy w niem przebywają, ulegać muszą wpływowi jego. Urabia ono dusze ludzkie na obraz i podobieństwo gmachów swoich i dzwonów swoich.

Chciałem wzbudzić przeświadczenie, że miasto może stać się pobudką do czynu, że widoki miasta nie są tylko tłem dla postaci, lub tematami do opisu, lecz znajdują się w najściślejszym związku z akcją powieści.

Chodziło mi więc o odtworzenie tutaj tych widoków, o wsunięcie pomiędzy kartki tej książki wizerunków wybrzeży, samotnych ulic, starych gmachów, kanałów, klasztorów, kościołów, przedmieść, naczyń świętych, nareszcie, żeby czytelnicy czuli obecność Miasta, ulegali jego wpływowi, odczuwali sąsiedztwo wód i długich cieni, padających od wysokich wieżyc.

I.

Zmierzch już zapadał, napelniając mrokiem korytarze wielkiego miasta, milczącego domu, przesłaniając okna mgłą żalobną.

Hugo Vian wybierał się na codzienny spacer wieczorny. Samotny, beczynny, dnie całe spędzał w swoim obszernym pokoju, którego okna wychodziły na Wybrzeże Różańcowe: tam bowiem stał dom jego, przeglądając się w cichych wodach kanału. Czytywał trochę: pisma, stare księgi; palił dużo; najczęściej zaś marzył przy oknie otwartem w dnie ciche i szare, gubiąc się we wspomnieniach.

Od pięciu lat żył w ten sposób, od czasu,

gdy na zawsze osiedlił się w Bruges, wkrótce po śmierci żony. Już pięć lat! Powtarzał sobie ciągle: „Wdowiec! jestem wdowcem!“ Słowo krótkie i bezpowrotne, malujące tak dokładnie samotność i opuszczenie.

Dla niego opuszczenie to było straszliwem: lata miłości upłynęły mu wśród bogactwa, swobody, licznych podróży, nowe otoczenie zawsze odnawiało i wzbogacało sielanekę. Znał nietylko cichę rozkosz przykładowego pożycia małżeńskiego, lecz nienasycone nigdy pragnienie, wieczną gorączkę miłości, głębokie zlanie się dusz, tak dalekich i blizkich zarazem, jak przeciwległe brzegi kanału, łączące się w odbiciu wody.

Dziesięć lat tego szczęścia minęły tak szybko, tak niepostrzeżenie!

Potem młoda kobieta umarła w trzydziestym roku życia, po parotygodniowej zaledwie chorobie; widział ją ciągle na tem łożu śmierci: leżała blada i jakby wyblakła: podobna do świec woskowych, które ją otaczały, a znał ją piękną i świeżą, jak kwiat; ciemne jej oczy o wielkich, rozszerzonych źrenicach, dziwnie odbijały od jasnych włosów, koloru bursztynu, cudnemi falami okrywa-

jących całą jej postać. Madonny Prymitywów mają takie sploty, spadające w miękkich kędziarach.

Już leżącej w grobie Hugo obciął te włosy, splecione w długi warkocz podczas ostatnich dni choroby. Czyż to nie jest jakby litością śmierci? Niszczy wszystko, lecz oszczędza włosy.

Oczy, usta—wszystko się rozkłada, wszystko się psuje — a włosy nie zmieniają nawet koloru. One jedynie przeżywają nas. Nawet teraz, po pięciu latach, warkocz umarłej zachował swą barwę, pomimo to, że spadło nań tyle słonych łez... Wdowiec przeżywał dziś boleśniej, niż kiedykolwiek, całą swą przeszłość; przyczyniła się do tego szarość i smutek tego dnia listopadowego, gdy dzwony rozsiewają w powietrzu dźwięki, jak szary popiół umarłych już lat...

Zdecydował się jednak na wyjście. Nie po to, by szukać nazewnątrz jakiejś pociechy lub rozrywki. Nie pragnął ich. Lecz lubił błądzić o zmierzchu i odnajdywać w samotnych kanałach i cichych zakątkach tego miasta nastroje, podobne do własnych przeżyć.

Schodząc na dół, zauważył, że wszystkie

drzwi, wychodzące na szeroki, biały korytarz i zwykle szczelnie pozamykane, dziś były otwarte naościęz.

W ciszy zadźwięczał głos jego, wołający na starą posługaczkę:

— Barbaro, Barbaro!..

Ukazała się natychmiast we framudze pierwszych drzwi i, domyślając się, o co chodzi, rzekła:

— Proszę pana, musiałam dzisiaj posprzątać salony, bo jutro wielkie święto.

— Jakie święto? — spytał Hugo zirytowany.

— Jak to? Pan nie wie? Przecież jutro ofiarowanie Najświętszej Panny. Muszę iść na mszę do klasztoru Beginek. Ponieważ nie będę mogła pracować jutro, posprzątałam dzisiaj.

Hugo Vian nie ukrywał niezadowolenia. Barbara wiedziała dobrze, że zawsze chciał być obecny przy tej robocie. W tych dwu pokojach było zbyt wiele skarbów, zbyt wiele pamiątek, związanych z Nią i z latami minionymi, by mógł pozwolić służącej na wchodzenie tam samej.

Pragnął być obecnym, by pilnować sprzątania, kontrolować jej ruchy i ostrożność, przekonać się o jej czci dla pamiątek. Uważał, że tylko jemu wolno było dotykać cennych drobiazgów,

należących do zmarłej, poduszek, lub ekranów przez nią zrobionych. Zdawało mu się, że na wszystkim znać było jeszcze dotknięcia jej rąk; na meblach, które pozostały niezmienione, na kanapach i fotelach, na których siadywała i które jakby zachowały jeszcze kształty jej ciała. Firanki układały się w fałdy, które im ona nadała. Co do luster—to trzeba było ostrożnie dotykać ich lśniącej powierzchni, by nie zetrzeć z nich odbicia, drzemącego w głębi. Chodziło mu także o opiekę nad portretami umarłej, robionymi w różnych epokach jej życia i rozsianymi wszędzie: na kominku, na półkach i ścianach; przede wszystkim zaś drżał o skarb swój najdroższy — uszkodzenie którego byłoby zламаło mu duszę — o włosy jej, których nie chciał zamknąć do szuflady, lub ciemnej skrzyni—to byłoby przecież włożeniem ich do trumny! Chciał widzieć zawsze te złote włosy, nie zmienione przez lata, będące żywym symbolem nieśmiertelnej miłości jego. Złożył je w wielkim salonie, na fortepianie, na zawsze zamilkłym; leżał tam swobodnie ten warkocz, będący częścią jej samej, jak zerwany łańcuch, jak lina uratowana z rozbicia! Ażeby zaś uchronić go od wszelkiej skazy, od wilgoci, mogącej zniszczyć lub zmienić

kolor jego, powziął myśl naiwną i tkliwą, włożenia go do kryształowego pudełka — tam chodził codziennie na pielgrzymkę nabożną.

Wydawało mu się, że te włosy są ściśle związane z całym cichym światem, w którym żył, że są one po prostu duszą domu.

Stara Barbara, trochę mrukliwa, lecz wierna i staranna służąca, wiedziała dobrze, jak ostrożnie należało się obchodzić z tymi przedmiotami i nie zbliżała się do nich inaczej, jak ze drżeniem. Milcząca i cicha w swej czarnej sukni i białym tiulowym czepeczku, wyglądała na zakonnicę. Zresztą bywała często w klasztorze Beginek, by tam odwiedzać jedyną swą krewnę, siostrę Rozalię.

Te wizyty, te nabożne przyzwyczajenia wycisnęły na niej swe piętno: zawsze prawie milczała, a chód jej stał się cichy i posuwisty, jak chód ludzi, przyzwyczajonych do płyt kościelnych. Dzięki tym jej zaletom, dzięki temu, że gwarem i śmiechem nie mąciła jego bólu, Hugo przywiązał się do niej w ciągu tych pięciu lat, które spędził w Bruges. Nie miał innej sługi, a ta stała mu się niezbędną, pomimo swego niewinnego despotyzmu, swoich manii staropanieńskich,

swoich dewocyi, pomimo robienia wszystkiego po swojemu, jak dziś naprzykład, gdy z powodu jutrzejszego święta przetrząsała salony bez jego wiedzy i wbrew najwyraźniejszym rozkazom.

Hugo zaczekał, aż uporządkowała meble, przekonał się, że wszystko, co mu było drogie, jest w całości i zostało postawione na miejscu. Wówczas dopiero, uspokoiony, po zapuszczeniu rolet i zamknięciu drzwi, zdecydował się na codzienny spacer, chociaż, jak zwykle jesienią, mżył drobny, płacziwy deszczyk; deszcz ten, padając pionowo i przesiewając się przez powietrze, tworzył jakby tkaninę wodną, najeżał drobnymi igielkami płaskie wody kanałów, chwycił duszę, jak ptaka, w mokre sieci o nieskończonych oczkach.



II.

Hugo codziennie szedł tą samą drogą wzdłuż brzegów kanału, krokiem niepewnym, trochę już pochylony, choć miał dopiero lat czterdzieści. Wdowieństwo stało się dla niego przedwczesną jesienią. Włosy na skroniach były już przerzedzone i jakby posypane popiołem. Wyblakłe oczy patrzyły daleko—daleko—poza życie.

Jakże smutne było Bruges w te godziny zmierzchu! Kochał je właśnie za ten smutek, i z tego powodu zamieszkał tu po wielkiej katastrofie swego życia. Niegdyś, za dni szczęścia, jeszcze, gdy podróżował z żoną, żyjąc podług swej fantazyi życiem trochę kosmopolitycznym,

w Paryżu, za granicą, nad morzem, byli tu razem w przejeździe; wówczas jednak wielka melancholia tego miasta nie zamąciła ich radości. Lecz później, gdy został sam, przypomniał sobie Bruges i nagle przecucie powiedziało mu, że powinien osiedlić się tam na zawsze. Tworzyło się tajemnicze zestawienie: umarła żona i umarłe miasto. Jego wielki ból potrzebował takiego otoczenia. Jedynie tu życie wydawało mu się możliwe. Przyjechał tu, kierowany instynktem. Niechaj świat gdzieś się burzy, hałasuje, zapala blaski uroczystości, tka swe tysiączne dźwięki. Jemu potrzebna była cisza nieskończona i egzystencja tak jednostajna, by mu dawała złudzenie niebytu.

Dla czego trzeba zachowywać ciszę przy cierpieniach fizycznych? Dla czego trzeba tłumić kroki w pokoju chorego? Dla czego hałas, a nawet dźwięk głosu, zwiększają cierpienia, otwierają rany?

W cierpieniach duszy hałas jest także czemś, co rani.

W milczącej atmosferze wód i umarłych ruin, Hugo mniej czuł ból swego serca, i z większym spokojem myślał o Umarłej. Tu lepiej, niż gdziekolwiek indziej, mógł widzieć tę twarz Ofelii, od-

najdując ją w dalekiej perspektywie kanałów, tu mógł słyszeć głos jej w odległych i subtelnym dźwiękach dzwonów.

To niegdyś piękne, niegdyś tak kochane miasto, było żywym wcieleniem jego rozpacz. Bruges—to obraz jego umarłej żony, a żona jego—to Bruges. Podobny los jednoczył ich. Bruges również leżało w grobowcu swoich kamiennych wybrzeży, z zamarłymi tętnicami kanałów, których już nie ożywiał potężny prąd morza. Gdy tak włókił się bez celu, owładnęły nim smutne wspomnienia silniej, niż kiedykolwiek; natarczywe, wyrzuciły się z pod mostów, gdzie lkały niewidzialne źródła łez; śmierć wiała z zamkniętych domów, z szyb zamglonych, jak oczy konających, ze szczytów, tworzących w odbiciu schody żałobne. Przeszedł wzdłuż wybrzeży Zielonego i Lustrzanego. i skierował się do mostu Młyńskiego i smutnych przedmieść, otoczonych topolami. I wszędzie płynęły za nim drobne dźwięki dzwonów, jakby krople, spadające z kropidła podczas absencji.

W tej samotności jesiennego wieczoru, gdy wiatr wymiatał ostatnie liście, z wznowioną siłą poczuł pragnienie śmierci i jakby tęsknotę za grobem. Zdawało mu się, że od wszystkich dzwon-

nic pada mu na duszę cień; że od starych murów płynie ku niemu jakaś rada, że z wody podnosi się jakiś szept cichy, że ta woda idzie na jego spotkanie, jak szła na spotkanie Ofelii, według opowiadań grabarzy Szekspira. Już nieraz czuł naokoło siebie taką przewrotną atmosferę. Słyszał przekonywający głos kamieni, czuł płynący od przedmiotów zakaz życia wobec śmierci, panującej dokoła.

Długo i poważnie namyślał się nad odebraniem sobie życia. Jakże uwielbiał tę kobietę! Czuł jeszcze na sobie jej oczy! A głos jej prześladował go ciągle, płynąc gdzieś z dala! Co w niej było takiego, że przywiązała go do siebie tak bezwzględnie, że oderwała go od świata całego, odkąd zniknęła sama? Więc istnieje Miłość, podobna do tych owoców Martwego morza, które zostawiają w ustach niezniszczalny smak popiołu!

Jeżeli oparł się tym myślom o samobójstwie— to jeszcze dla niej. Razem z boleścią odżyła jego wiara mistyczna; wierzył, że nicość nie jest końcem istnienia, że jeszcze kiedyś ujrzy swą żonę. Wiara ta broniła go przed śmiercią dobrowolną. Byłoby to przecież oderwaniem się od Boga i odebraniem sobie mglistej nadziei zobaczenia jej.

Żył więc; modlił się, znajdując pociechę w myśli, że czeka na niego w ogrodach niewiadomego nieba. Marzył o niej w kościołach, przy dźwiękach organu.

Tego wieczoru wstąpił mimochodem do kościoła Najświętszej Panny, w którym lubił bywać ze względu na jego nastrój żalobny: wszędzie bowiem, na ścianach i na podłodze były płyty grobowe, z wrytymi na nich czaszkami, z imionami, zniszczonemi jakby przez pocałunki kamiennych ust. Tu śmierć, raz jeszcze śmierć niszczyła.

Lecz tuż obok znikomość życia opromieniona była przez wizję zwyciężkiej Miłości: były to słynne grobowce Karola Śmiałego i Maryi Burgundzkiej, umieszczone w głębi bocznej kaplicy. Grobowce te były celem częstych pielgrzymek Hugona. Jakże głęboko go wzruszały! Szczególniej ona, ta słodka księżniczka w sukni mosiężnej, z dłońmi splecionemi, z głową, leżącą na poduszce, ze stopami, opartemi na psie — symbolu wierności — taka sztywna na swoim kamiennym sarkofagu. Jego Umarła tak właśnie spoczywała w głębi jego zrozpaczonej duszy. Przyjdzie czas, kiedy i on wyciągnie się i spocznie obok niej, jak księżę Karol. Przyjdzie cichy sen obok sie-

bie, gdyby zawiodła nadzieja chrześcijańska połączenia się po śmierci.

Hugo wyszedł z kościoła smutniejszy, niż kiedykolwiek. Skierował się ku domowi, gdyż zbliżała się pora wieczornego posiłku. W pamięci starał się odtworzyć kształty Umarlej, próbując dostosować je do kształtów posągu, przed chwilą widzianego, i wyobrazić sobie cały pomnik z inną twarzą. Lecz postaci zmarłych zacierają się powoli w naszej pamięci, giną, jak pastel w szkło nieoprawiony, barwy rozpraszają się i znikają. I umarli umierają raz jeszcze w duszach naszych!

Zapatrzony wewnątrz siebie, natęzał myśl, by odtworzyć jej rysy, już nawpół zatarte w pamięci; zwykle nie zwracał najmniejszej uwagi na rzadkich, zresztą, przechodniów; zatrzymał się jednak nagle, poruszony widokiem młodej kobiety, zbliżającej się ku niemu. Nie widział jej przedtem i zauważył ją dopiero wówczas, gdy przechodziła tuż obok. Na widok jej stanął nieruchomy; kobieta, idąca w stronę przeciwną, minęła go. Hugo zachwiał się, wstrząśnięty tą zjawą. Przesunął dłonią po oczach, jakby odpędzając senne marzenie. Potem, po chwili wahania, zwrócił się

ku nieznajomej, oddalającej się krokiem powolnym i, nagle, poszedł za nią.

Szedł szybko, by ją dogonić, przechodził z jednego chodnika na drugi, zbliżał się do niej, przyglądał się jej z natarczywością, zupełnie nie-stosowną, jakgdyby ulegał halucynacyi. Młoda kobieta szła dalej, niewzruszona, nie patrząc, lecz widząc wszystko. Hugo stawał się coraz dziwniejszy, coraz bardziej natarczywy. Szedł za nią od kilku już minut, przechodząc z ulicy na ulicę, to zbliżając się do niej, jakby dla ostatecznego sprawdzenia, to oddalając się, jakby przerażony, gdy dochodził zbyt blisko. Wydawało się, że go coś przyciąga i odpycha zarazem, jak studnia, w której się pragnie ujrzeć odbicie drogiej twarzy...

Więc istotnie to ona! Teraz przypatrzył się jej i nie ma najmniejszej wątpliwości. Ta sama cera delikatna, te same ciemne oczy, o rozszerzonych źrenicach i białkach perłowych. A gdy szedł za nią, widział jej włosy, wyglądające z pod czarnego kapturka i woalki—te same złote włosy o barwie bursztynu lub przedzy jedwabnika. Ten sam kontrast mrocznych źrenic i płomienistych, południowych włosów.

Czy umysł jego się mącił? Czy też siat-

kówka jego, odtwarzająca nieustannie postać Umarłej, utożsamiała z nią przechodniów? Szukał jej rysów w swej pamięci i oto nagle zjawia się kobieta, będąca aż nadto wiernem jej odbiciem. Jakież niepokój wywołała w nim ta zjawia! Straszliwy cud podobieństwa, dochodzącego do tożsamości.

Wszystko odżyło: chód jej, postawa, rytm jej ciała, wyraz twarzy, skupione, marzące spojrzenie; nie tylko linie i barwy, lecz duchowa strona całej istoty; wszystko zjawilo się znów, zostało mu wrócone. Hugo wciąż szedł za nią po labiryncie mglistych uliczek miasta, szedł jak lunatyk, już machinalnie, nie wiedząc po co i nie myśląc o niczem. Gdy doszli do placu, z którego rozchodziło się kilka rozstajnych dróg, Hugo, idący za nią o kilka kroków, stracił ją nagle z oczu; zniknęła w którejś z tych krętych uliczek. Stał, patrząc w dal, przenikając wzrokiem pustkę, a ży powoli występowały mu z pod powiek... Ach, jakżeż ona podobną była do Umarłej!



III.

Zamęt powstał w duszy Hugona po tem spotkaniu. Teraz, gdy myślał o swej żonie, widział ją już w postaci owej nieznajomej; była ona żywym, wyraźnym przypomnieniem tamtej. Wydawało mu się, że to Umarła — tylko bardziej podobna do siebie samej.

Gdy szedł w milczącej czci ucałować swoją świętość—włosy żony, lub z tklivością przyglądał się któremuś z jej portretów, porównywał już wszystko nie z Umarłą, lecz z żywą, tak do tamtej podobną. Te obie twarze zlewały się tajemniczo w jedną całość. Była to jakby litość losu, odświeżająca jego pamięć, spiskująca z nim ra-

zem przeciw zapomnieniu, stawiająca świeży obraz na miejsce starego, już zblakłego, żółkłego, zniszczonego przez czas. Hugo miał teraz w swej pamięci zupełnie wyraźny i nowy obraz Umarłej. Wystarczało mu przypomnienie owego wieczoru, starego wybrzeża o zmierzchu i młodej kobiety o twarzy żony, zbliżającej się ku niemu. Nie potrzebował już patrzeć wstecz—daleko—w minione lata; wystarczało, by wspomniał wczorajszy, lub onegdajszы wieczór. To wszystko było tak blizkie, tak proste teraz. Oko jego wchłoneło tę drogą twarz raz jeszcze i nowe odbicie zlało się z dawnem, wzmacniając się wzajemnie i dając takie podobieństwo, że stawało się jakby istotną obecnością. Przez dni następne Hugo był otoczony wizjami. Więc istniała kobieta absolutnie podobna do tej, którą utracił! Przeszła obok niego, a on przeżył w tej krótkiej chwili okrutny sen, że tamta wróciła i zbliża się do niego, jak niegdyś. Te same oczy, ta sama cera, te same włosy, cała taka podobna, że niemal identyczna. Dziwny kaprys Przyrody i Losu!

Pragnął ujrzeć ją znowu. Być może, nie ujrzy jej nigdy więcej? Jednakże świadomość tego, że istniała, że była blisko i że mógł ją spot-

kać, koła jego samotność. Czyż jest wdowcem człowiek, żona którego jest tylko nieobecna i powraca, choć na krótkie chwile?

Gdy koło niego przejdzie ta, która jest do Umarłej podobna, będzie sobie wyobrażał, że to tamta. Z nadzieją tą szedł wieczorem, o tej samej porze w okolice, w której ją spotkał. Przebiegł stare wybrzeże o zczerniałych murach, o oknach przybranych muślinowemi firankami, z za których bezczynne kobiety, zaciekawione jego zachowaniem się, śledziły jego ruchy, zagłębiał się w martwe, kręte uliczki, marząc, że nagle ona wyjdzie z za rogu jakiegoś placu. Tydzień upłynął wśród tych, zawsze zawiedzionych, oczekiwań. Zaczynał już mniej o niej myśleć, gdy w poniedziałek, w ten sam dzień, kiedy ją spotkał po raz pierwszy, zobaczył ją znowu, idącą ku niemu tym samym miarowym, kołyszącym się krokiem. Pознаł ją natychmiast. Teraz jeszcze więcej, niż kiedykolwiek, podobieństwo wydało mu się bezwzględne, całkowite i naprawdę przerażające. Serce jego prawie przestało bić ze wzruszenia, jakgdyby miał umrzeć; w uszach dzwoniło. Biała mgła przesłoniła mu oczy. A na tle tem zaryso-

wała się nagle, zupełnie blisko, czarna sylwetka, przechodząca obok niego.

Kobieta widocznie zauważyła jego zmieszanie, gdyż spojrzała w jego stronę zdziwiona. Ach, to spojrzenie odnalezione, wyrwane nicości! Spojrzenie, którego już nigdy nie miał ujrzeć, które zdawało się być na zawsze unicestwione, czuł je teraz na sobie, spokojne i gładkie, znów wykwitłe, znowu pieszczące. Spojrzenie dalekie, zmartwychwstałe, podobne do tego, którym Łazarz musiał spojrzeć na Chrystusa.

Odbiegły go wszystkie siły; cała istota jego wrywała się w ślad jej postaci. Umarła ożyła: oto szła przed nim, oddalała się. Trzeba iść za nią, zbiżyć się, patrzeć na nią, pić jej spojrzenie, pozwolić, by włosy jej, będące światłem, rozpalily w nim na nowo iskrę życia. Trzeba iść za nią bez namysłu, choćby na koniec miasta, choćby na koniec świata.

Nie rozumował już wcale, lecz machinalnie szedł za nią, tym razem już zblizka, drżąc z przerażenia, że mu znów gdzieś zginie w tem mieście o krętych, kolistych uliczkach.

Nie pomyślał ani chwili, że popelnia czyn

dla siebie nienormalny i idzie za obcą kobietą. Szedł przecież za swoją własną żoną, towarzyszył jej w tym wieczornym spacerze i miał ją odprowadzić do grobu...

Hugo szedł ciągle, jak zamagnetyzowany, obok nieznajomej, lub tuż za nią, nie zauważywszy nawet, że z pustych wybrzeży wyszli na ludne ulice do środka miasta, na Wielki Plac, gdzie olbrzymia, czarna Baszta Targowa złotym puklerzem swego zegara broniła się od szybko zapadającej ciemności nocnej.

Młoda kobieta, wysmukła i szybka, pragnąc widocznie uwolnić się od prześladowania, weszła w ulicę Flamandzką, z domami o starych fasadach rzeźbionych; szła szybko, a sylwetka jej odcinała się ostro, ile razy przechodziła koło oświetlonych okien sklepów lub wstępowała w świetlisty krąg latarni. Potem nagle przeszła na drugą stronę ulicy, zbliżyła się do teatru, drzwi którego były otwarte i weszła.

Hugo wszedł za nią bez wahania... wola jego nie działała — był już tylko satelitą. Ruch duszy także zachowuje przez jakiś czas nabytą szybkość. Idąc za poprzednim rozpędem, wszedł do przedsionka, zapelnionego cisnącym się tłu-

mem. Lecz zjawisko zniknęło. Nigdzie nie było młodej kobiety, ani wśród publiczności, stojącej u kasy, ani przy wejściu do sali, ani na schodach. Gdzież zniknęła? Przez jaki przeszła korytarz? Przez jakie drzwi weszła? Przecie widział, jak wchodziła — nie było w tem najmniejszej wątpliwości. Szła zapewne na przedstawienie. Niewątpliwie będzie za chwilę na sali. Jest już tam może — siedzi w którymś z foteli, lub w ciemnej głębi łoży. Odnaleźć ją! zobaczyć znowu, móż widzieć ją wyraźnie przez cały wieczór! Czuł zawrót głowy przy myśli tej, będącej dla niego rozkoszą i męką. Nie pomyślał ani chwili o tem, by oprzeć się sugestyi. I nie myśląc ani o dziwnem zachowaniu się swoim w ciągu ostatniej godziny, ani o niedorzeczności swego nowego projektu, ani o niestosowności wchodzenia do teatru wgrubej żalobie, którą stale nosił, zbliżył się bez wahania do kasy, wziął bilet i wszedł na salę.

Oczy jego przebiegły szybko wszystkie miejsca, wszystkie łoże, wszystkie galerye nawet, wypełniające się powoli i oświetlone blaskiem żyrandoli. Nie znalazł jej nigdzie, to go zgnębiło, zamucilo, zaniepokoiło.

Stał się igraszką jakiegoś złego losu. Ta

twarz to zjawiała mu się, to znikala — jak w halucynacji! Zjawy chwilowe, jakby księżycy wśród chmur. Czekał jeszcze, szukał jeszcze. Spóźnieni widzowie wchodzili z pośpiechem, siadali na swoich miejscach, słycać było hałas i zgrzyty otwieranych drzwi, spuszcanych ławeczek. Ona jedna nie zjawiała się wcale.

Zaczynał żałować lekkomyślnego postępku. Tembardziej, że obecność jego została zauważona i cały szereg lornetek skierował się ku niemu — oczywiście, nie mógł tego nie widzieć. Nie złożył, coprawda, żadnej wizyty, nigdzie nie bywał, nie zawiązał stosunków z żadną rodziną — żył zupełnie sam. Lecz każdy go znał z widzenia, wiedział, kim jest, słycał o jego szlachetnej rozpacz; było to tak łatwe w Bruges — tem mało zaludnionem miasteczku, gdzie ludzie są beczynni, gdzie wszyscy się znają, wszyscy interesują się przybyszami i plotkują o wszystkim z sąsiadami.

Wywołało to ogromne zdziwienie, rozproszyło legendę, dało pole do tryumfu dla złośliwych, uśmiechających się zawsze, gdy mówiono o wdowcu niepokieszonym.

Niewidzialny prąd, idący od tłumu, złączonego jedną myślą, dotarł do niego; poczuł nagle, że

popelnil błąd wielki wobec siebie samego, że sprzeniewierzył się czemuś szlachetnemu, że jest to pierwsze rozbitcie i że przez nie wypłynie po kropli ból jego, tak dobrze dotąd broniony.

Tymczasem orkiestra rozpoczęła uwerturę. Przeczytał na programie swego sąsiada tytuł, wydrukowany wielkimi literami: „Robert le Diable”. Była to jedna z tych oper, które się zawsze znajdują na programach widowisk prowincjonalnych.

Skrzypce rozpoczęły pierwsze takty.

Hugo zmieszał się jeszcze bardziej.

Od śmierci żony nie słyszał żadnej muzyki. Bał się śpiewu instrumentów.

Gdy w niedzielę słuchał ponurych dźwięków organu w kościele Najświętszej Panny lub Św. Walburgi, łzy występowały na jego powieki. Wzruszały go nawet cienkie astmatyczne dźwięki katarynki, dolatujące z ulicy.

Muzyka opery zatopila mózg jego falą dźwięków; smyczki grały mu na nerwach. Cóż kłóło mu oczy. Czyżby się miał rozplakać? Chciał już odejść, gdy dziwna myśl przeszła mu przez głowę. Kobieta, za którą przyszedł aż do tej sali, tknięty rodzajem szaleństwa — nie znajdowała się w tej sali — to było pewne; jednakże weszła do te-

atru — widział to dobrze. Jeżeli więc nie było jej na sali, może ukaże się na scenie?

Już samo przeczucie tej profanacyi szarpało mu duszę. Ta twarz, tak podobna do twarzy jego żony, miała ukazać mu się w świetle rampy, zeszpeczona szminką! Co, jeżeli ta kobieta, która tak nagle zniknęła przez jakieś przejście boczne jest aktorką i jeżeli zobaczy ją śpiewającą gestykulującą? A głos jej? Czy dla dopełnienia dyabelnego podobieństwa będzie to ten sam głos metaliczny, jakby srebra, stopionego z miedzią, głos, jakiego nigdy już nigdy potem nie słyszał?

Hugo był cały wzburzony samą możliwością takiego przypadku i pelen niepokoju czekał, przeczuwając, że zgadł dobrze.—Jeden akt następował po drugim, nie dając żadnego wyjaśnienia... Nie widział jej ani wśród śpiewaczek, ani pośród chórzystek umalowanych, jak drewniane lalki.

Obojętny na wszystko, postanowił wyjść po scenie z zakonnkami, cmentarne dekoracje której przypominały mu wszystkie jego smutki. Lecz, nagle, gdy przy wtórce instrumentów zakonnice powstają ze śmiertelnego snu i idą długim szeregiem, gdy Helena ożywa w swym grobie i zmartwychwstaje, odrzucając habit i całun, Hugo doznał

wrażenia człowieka, który, po przebudzeniu się z ciężkiego snu, został przeniesiony do jaskrawo oświetlonej sali balowej.

To była ona! Była więc tancerką! Lecz o tem nie myślał ani chwili. To była naprawdę Umarła, schodząca z grobu. To była jego Umarła, która teraz uśmiechała się, chodziła, wyciągała ręce.

Była jeszcze bardziej podobną — tak podobną, że płakać się chciało, z oczami zciemnionemi przez mrok, z włosami, o barwie niezapomnianej, jak tamte... Zjawisko przejmujące, przelotne, które niebawem przykryła zasłona.

Cały rozogniony, poruszony i promienny szedł Hugo wzdłuż kanałów, mając wciąż przed oczyma zjawisko, świecące mu nieustannie nawet w nocy...

Jak doktor Faust, zapamiętałe szukający lustra czarnoksięskiego, w którym ukazała mu się niebiańska postać odsłaniającej się kobiety.

IV.

Hugo szybko dowiedział się o niej wszystkiego, co chciał. Nazywała się Jane Scott—imię to było wydrukowane na czele afiszu; mieszkała w Lille i dwa razy tygodniowo przyjeżdżała na przedstawienia do Bruges, razem ze swoją trupą. Tancerki nie zaliczają się do purytanek. Jednego wieczoru, przynaglony bolesnym czarem podobieństwa, zbliżył się do niej i przemówił.

Odpowiedziała mu bez zdziwienia, jakby oczekiwała tego spotkania, a głos jej poruszył Hugona do głębi duszy. Więc i głos! Głos, tamtej zupełnie podobny, i jakby usłyszany na nowo,

głos o podobnej barwie i metalu. Demon analogii naigrawał się z niego! Albo może istnieje tajemna harmonia twarzy i podobnym oczom i włosom odpowiadać musi także głos? Dlaczegoż nie miałyby mieć głosu Umarłej, jeżeli posiadała na tle perłowym jej rozszerzone, ciemne źrenice, jej włosy, złoty kolor których był tak rzadki? Widząc ją teraz bardzo blisko, nie mógł zauważyć najmniejszej różnicy między dwiema kobietami. Najbardziej dziwiło go to, że zachowała niezwykłą świeżość cery, pomimo pudru, szminki i palącego światła rampy. W sposobie bycia nic nie znamionowało obejścia tancerek: ubrana skromnie, zamknięta w sobie, słodka.

Widywał ją kilkakrotnie — rozmawiał z nią. Czar podobieństwa wciąż działał... Nie bywał już jednak w teatrze. Pierwszego wieczoru Los odegrał mu cudowną bajkę. Ponieważ miała być dla niego złudzeniem odnalezionej nieboszczki, słusznem było, że pierwszy raz ją zobaczył, jako zmartwychwstającą, schodzącą z grobu w świetle księżyca i wśród czarodziejsko pięknej dekoracji.

Lecz odtąd nie chciał jej widywać w tem

otoczeniu. Umarła stała się kobietą żywą i rozpoczęła znów swe ciche życie, ubrana w spokojne, ciemne barwy.

Żeby zachować miraż podobieństwa, Hugo pragnął ją widzieć jedynie w stroju zwykłym, gdyż tak ubrana, była najbardziej podobną!

Odwiedzał ją teraz często, ilekroć występowała, czekając na nią w hotelu, gdzie mieszkała. Z początku zadawał sobie pocieszającym kłamstwem twarzy. Szukał w niej odbicia Umarłej. W ciągu długich chwil patrzył na nią z bolesną radością, wchłaniając w siebie jej usta, jej włosy, jej cerę, pragnąc zatrzymać je w głębi nieruchomych oczu. O radości! z zamarłego źródła pamięci wylania się obecność; obraz odbity w wodzie żyć zaczyna.

Spuszczał nieraz powieki, gdy mówiła, żeby głos jej dopełnił iluzji; pił dźwięki jej głosu, podobne aż do tożsamości, gdyby nie pewne przytłumienie, zgłuszenie. Był to jakby głos tamtej, słyszany z za ściany.

Jednakże po tem pierwszym zjawieniu się na scenie pozostało niepokojące wspomnienie: widział wtedy jej nagie ramiona, szyję, giętką

linię pleców, szukał ich w wyobraźni pod ubraniem. Rodziła się ciekawość zmysłów.

Kto opisze namiętne uściski kochających się ludzi po długim rozstaniu? Śmierć tu była jedynie nieobecnością. Przecież ta sama kobieta wróciła! Patrząc na Jane, Hugo myślał o Umarłej, o minionych pocałunkach, objęciach. Gdyby mógł posiadać tę kobietę, wydawałoby się, że znowu posiada tamtą. To, co zdawało się na zawsze skończone, rozpocznie się znowu. I nie zdradzi przez to żony, gdyż ją właśnie kochać będzie w tem odbiciu, jej usta całować będzie, dotykając tych ust, tak podobnych.

Hugo poznał rozkosz gwałtowną i groźną. Namiętność jego nie wydawała mu się świętokradztwem, przeciwnie, czemś słusznem i dobrem, tak dalece te dwie kobiety zwały się w jedną postać, straconą — potem znów odnalezioną, kochaną w przeszłości i teraźniejszości, postać o tych samych oczach, tych samych włosach, jednym ciele, któremu pozostał zawsze wierny.

Hugo odwiedzał Jane, ilekroć przyjeżdżała do Bruges; czasem w godzinach popołudniowych przed przedstawieniem, lecz najczęściej po tea-

trze, bawiąc przy niej długo w milczące godziny północne. Wbrew wszelkim pozorom, nie zdejmując swej grubej żaloby, w tych pokojach hotelowych, ciągle zmienianych i zawsze obcych, Hugo dochodził do przekonania, że złe lata nie istniały, że to jest znowu ognisko rodzinne, małżeństwo z miłości, że żona wróciła, że wróciło spokojne życie z pocałunkami dozwolonymi.

Słodkie wieczory: zamknięty pokój, spokój wewnętrzny, zjednoczenie się ludzi, którzy sobie zupełnie wystarczają, cisza i milczenie.

Oczy, zapominając o wszystkim: o ciemnych kątach, zimnych szybach, o chłodzie i deszczu nazewnątrz, o dzwonach, bijących śmierć godzinom, jak ćmy krążyły w ciasnym kole światła. Hugo odżywał podczas tych wieczorów...

Zupełne zapomnienie — odnowienie. Czas płynął po łożysku bez przeszkód. I zdawało się, że żyjąc, przeżywa się wieczność...

V.

Hugo umieścił Jane w wesołym domku, wynajętym dla niej przy alei, wiodącej na przedmieścia, pełne zieloności i wiatraków.

Namówił ją również, by porzuciła teatr. Będzie mógł mieć ją zawsze w Bruges i będzie w ten sposób bardziej jego. Ani na chwilę nie przyszedł mu jednak na myśl komizm sytuacji: człowiek w jego wieku, poważny, który przeżył lata żaloby tak jawnie niepokieszonej — raptem zakochał się w tancerce! Właściwie nie zakochał się w niej wcale. Pragnął jedynie ludzić się wiecznie mirażem podobieństwa. Gdy brał w swoje dłonie głowę Jane i zbliżał ją do swojej twarzy,

patrzył w oczy jej, szukając w tych oczach czegoś, co kiedyś widział w tamtych: jakiegoś odcienia, jakiegoś odblasku, jakichś kwiatów, korzeni których są w duszy i które pragnął znaleźć tutaj.

Innym razem rozplatał jej włosy, by spływały po ramionach, i w myślach porównywał je do innej przędzy, jakby je chciał zmieszać razem.

Jane zupełnie nie rozumiała tego dziwnego zachowania się, tych milczących kontemplacji.

Przypominała sobie, że niewytlómaczony smutek ogarnął go, gdy na początku ich stosunku powiedziała, że włosy jej są farbowane; i że ze wzruszeniem pilnował odtąd, by utrzymywała zawsze ten sam odcień.

— Mam ochotę przestać farbować włosy — rzekła kiedyś.

Był tem ogromnie przejęty, nalegał, by zachowała ten jasny, złoty kolor, który tak lubił. I mówiąc to, brał jej włosy, pieścił je w rękę, zapuszczał w nie palce, jak skąpiec, który odnalazł swój skarb utracony. Szeptał przytem słowa niezrozumiałe:

— Nie zmieniaj nic... Kocham cię dla tego

właśnie, że jesteś taką! Ach, ty nie wiesz, nie będziesz nigdy wiedziała, czego dotykam, mając w ręku twe włosy...

Zdawało się, że chce powiedzieć coś więcej i nagle się zatrzymuje, jakby na brzegu przepaści zwierzeń.

Odkąd zamieszkała w Bruges, odwiedzał ją prawie codziennie; zwykle spędzał u niej wieczory, jadł czasem kolację, nie zważając na zły humor Barbary, swej starej służącej, która następnego dnia narzekała na bezskuteczne oczekiwanie. Barbara udawała, że istotnie wierzy, iż pan jadł w restauracji; lecz w głębi duszy jej powstawała nieufność i nie poznawała wprost swego pana, dawniej tak bardzo punktualnego — tak lubiącego siedzieć w domu.

Hugo wychodził teraz często, dzieląc swój czas pomiędzy swoim domem, a domem Jane.

Najlepiej lubił iść tam nad wieczorem, dzięki przyzwyczajeniu swemu wychodzenia w późnych popołudniowych godzinach, a również i dla tego, by uniknąć zbyt wielu obserwacji podczas spacerów swych w kierunku domostwa, które wybrał na tę intencję w dzielnicy samotnej.

Nie odczuwał wobec siebie samego żadnego

wstydu, ponieważ znalazł przyczynę, znalazł podstęp losu, zmuszający go do tej zamiany, który był mu nie tylko wytlómaczeniem, lecz absolucją, rehabilitacją wobec Umarłej i nawet wobec Boga. Lecz trzeba było liczyć się z prowincją, pełną pruderyi: jakże nie dbać o sąsiedztwo, o nienawiść lub szacunek publiczny, kiedy się czuje prawie dotknięcia oczu, nieustannie na siebie zwróconych?

— A już szczególnie w tem katolickiem Brugese, gdzie obyczaje są tak surowe! Wysokie baszty w swoich kamiennych habitach rzucają wszędzie długie cienie. Zdaje się, że z niezliczonych klasztorów unosi się pogarda dla tajemnych kształtów ciała i udziela się zachwyt dla cnoty. Na wszystkich rogach ulic, w szafkach ze szkła i drzewa stoją Madonny w aksamitnych płaszczach, wśród papierowych kwiatów, trzymając w ręku zwoje tekstu biblijnego i jakby głosząc: „Jestem Niepokalana!“

Wszelkie namiętności, wszelka poufałość mężczyzn i kobiet po za małżeństwem, zawsze są uważane za coś przewrotnego, za grzech, wiodący ku piekłu, za przestąpienie szóstego i dziesiątego przykazania, za coś, o czem się

szeptem mówi w konfesyonałach i co rumieńcem wstydu okrywa pokutujących.

Hugo znał dobrze tę surowość obyczajów Bruges i unikał obrażania jej. Lecz na prowincyi żadna drobnostka nie ujdzie baczości ludzkiej. Niedługo postępowanie jego wywołało świątobliwe oburzenie. Włara obrażona często przejawia się w ironii. Nawet katedra szydzi z dyabła, umieszczając jego maski na rynnach.

Kiedy rozeszł się wiadomość o stosunku wdowca z tancerką, stał się on, nie wiedząc o tem, przedmiotem powszechnej ciekawości. Wszyscy wiedzieli o tem. Plotki krążyły od domu do domu, zapelniając beczynne godziny, przyjmowane z ciekawością klasztorną; w miastach umarłych zielsko obmowy bujnie wyrasta pomiędzy kamieniami bruków.

Zdarzenie to tem większą wzbudziło wesołość, że wiedziano o długoletniej rozpaczycy jego, o spojrzeniach bez blasku, o tem, że wszystkie myśli jego krążyły nieustannie naokoło jednej mogiły. I oto tak kończyła się żaloba, która się wieczną być wydawała. Wszyscy stali się ofiarą złudzenia, biedny wdowiec najbardziej — gdyż był zapewne oczarowany przez łajdaczkę. Znano ją

dobrze. Była to tancerka z teatru. Pokazywano ją sobie, gdy przechodziła, wyśmiewając się z jej spokojnej postawy, której przeczyły — ich zdaniem—zółte włosy i jej zachowanie się. Wiedzano nawet, gdzie mieszka, i że wdowiec odwiedza ją co wieczór. Jeszcze trochę, a oznaczonoby godziny i sposób, w jaki je spędzał.

Ciekawe kumoszki, wśród nudów beczynnych popołudni, obserwowały jego przejście, siedząc przy oknach i śledząc wszystko, co się dzieje, przez małe lusterka, zwane szpiegami i przymocowane do zewnętrznej strony okien. Skośne lustra, w których się przesuwały niepewne sylwetki ulic, mieniające się szkła, chwytające, bez ich wiedzy, wszystkie ruchy przechodniów, ich uśmiechy, ich przelotne myśli, odbite w oczach, i odsyłające to wszystko do wnętrza pokoju, gdzie ktoś śledzi.

Dzięki tym zdradom luster, poznano szybko wszystkie sprawy Hugona i dowiedziano się o wszystkich szczegółach stosunku jego z Jane. Jego iluzje, jego naiwne ostrożności, chodzenie do niej tylko o zmierzchu, nadały jakiś odcień komizmu temu stosunkowi, który najpierw tak bardzo raził wszystkich, i oburzenie przeszło w śmiech.

Hugo nic nie podejrzewał i dalej wychodził o zmierzchu, żeby skierować się drogą okrężną do zupełnie bliskiego przedmieścia.

O ileż mniej bolesne były teraz jego wieczorne spacerki! Szedł po mieście, przechodził przez stuletnie mosty, mijał martwe wybrzeża, wzdłuż których cicho wzdychają wody. Dzwony codziennie zwiastowały jakieś nabożeństwo na dzień następną. Ach, te dzwony rozdzwonione, a tak dalekie, jakby dźwięczące z innych światów!...

Z przepelnionych rynien, jak i przedtem, powoli sączyła się woda, tunele mostów okrywały się chłodnymi kroplami łez, topole, stojące na brzegu wody, szemrały, jak skarga cichego, niepokieszonego źródła. Hugo nie czuł już więcej tego bólu wszechrzeczy i nie widział miasta sztywnego, jakby spowitego w tysiączne powijaki kanałów swoich.

Tamto dawne miasto — umarłe Bruges — po którym był wdowcem, stało mu już tylko lekki podmuch melancholii; i szedł przez jego milczące ulice — pocieszony — jakby Bruges także powstało z grobu, i widział je jako miasto nowe zupełnie, tylko podobne do dawnego.

I gdy tak codziennie szedł do Jane, nie dotknął go ani na chwilę wyrzut sumienia; ani na chwilę nie miał wrażenia, że popełnia świętokradztwo wielkiej miłości—i swojej wielkiej żałoby—nie odczuwał nawet tego leciutkiego drżenia, które przejmuje wdowę, gdy poraz pierwszy wpi-
na czerwoną różę w swoje krepy żałobne.

VI.

A Hugo rozmyślał nad nieuchwytną potęgą podobieństwa.

Odpowiada ono dwom sprzecznym potrzebom natury ludzkiej: potrzebie nowych wrażeń i przyzwyczajeniu. Przyzwyczajenie jest prawem, rytmem istoty ludzkiej. Hugo doświadczył na sobie jego potęgi, która bezpośrednio zadecydowała o przeznaczeniu jego. Przez to, że w ciągu dziesięciu lat żył z kobietą zawsze kochaną, nie mógł teraz odzwyczaić się od niej, myślał wciąż o nieobecnej, i szukał jej twarzy w twarzach obcych. Z drugiej strony równie mocną i intensywną jest potrzeba nowych wrażeń. Szczęście, jak i zdrowie, poznajemy jedynie przez kontrasty. Miłość również ma swoje okresy, swoje przerwy.

Podobieństwo jest czemś, co godzi w nas te dwie potrzeby, łączy je w jakiś nieuchwytny sposób. Podobieństwo jest punktem stycznym przyzwyczajenia i nowości.

Wyrafinowanie to przejawia się szczególnie w miłości: czar kobiety nowej, podobnej do dawnej!

Hugo cieszył się tym czarem z coraz to wzrastającą rozkoszą, gdyż samotność i ból dawno przeczuły jego duszę i wrażliwość aż do najsubtelniejszych odcieni. Czyż nie zamieszkał w Bru- ges od czasów wdowieństwa, właśnie dzięki przecuciu możliwych analogii?

Posiadał on w swej duszy coś, co możnaby nazwać „poczuciem podobieństwa”, jakby zmysł dodatkowy, wątki i delikatny, łączący wszystko pomiędzy sobą tysiącem nieuchwytnych nici, tworzył niespodziewane analogie, przerzucal niewidzialne druty telegraficzne pomiędzy swoją duszą, a niepocieszonymi wieżami.

Dla tego przecież wybrał Bruges, od którego morze odeszło, jak od niego szczęście.

To samo już było niezwykle podobieństwem i zamieszkał tam, bo dusza jego łączyła się z duszą największego z Szarych Miast.

A ta melancholia szarych ulic, gdzie wszystkie dnie są jak listopadowe dnie Zaduszek! Ta szarość jakby stworzona z białych czepców zakonnic i czarnych sutann księży, nieustannie się przesuwających i suggestyjonujących myśli! Tajemniczość tej szarości, tej wieczystej półżałoby.

Fasady domów mienia się wzdłuż ulic nieskończonymi barwami: jedne z nich są zielonkawe, inne znów blade-ceglaste, poprzecinane białymi liniami; lecz też obok są domy czarne, przypominające surowość węglowych rysunków, lub głębokie barwy akwafort; ciemny ton ich cieniuje, podnosi tony sąsiednie, trochę może za jasne; a z całości wykwita jednakże wrażenie szarości, unoszącej się nad długim szeregiem domów i otulającej wszystko naokoło.

Śpiew dzwonów, przetłomaczony na barwy, również mógłby się wydawać czarnym; lecz przysłuszony, roztopiony w przestworzu, dolatuje nas jako dźwięk szary, miękko płynący i falujący nad wodami kanałów. I nawet tu woda, pomimo tylu różnobarwnych odbić: kawałeczków szafirowego nieba, barwnych dachówek, śnieżnej białości szubujących po niej łabędzi, zieloności nadbrzeż-

nych topoli — wydaje się bezbarwną drogę milczenia.

Przez jakiś cud klimatu zachodzi tu wzajemne przenikanie się, czujemy działanie nieznanych czynników chemicznych, neutralizujących barwy zbyt jaskrawe, sprowadzających wszystko do bajecznej, jednolitej, nieco sennej szarości.

Wydaje się, jakby częste mgły, przyćmione północne światło, granit wybrzeży, nieustanne deszcze i dźwięki dzwonów — wpłynęły na barwę powietrza — a zresztą w tem starem mieście snuje się przecież martwy popiół czasu, unosi się pył, pochodzący z klepsydry Godzin i wyciska na wszystkim swe milczące piętno.

Hugo pragnął zamieszkać tutaj dla tego właśnie, żeby czuć, jak ostatnią jego energię zasypie nieznacznie i pewnie ten drobny pył wieczności, pod wpływem którego dusza szarzeje mu, jak to miasto.

Obecnie ten „zmysł podobieństwa” zaczął działać przez raptowne i prawie cudowne oderwanie uwagi jego — lecz już w kierunku przeciwnym.

Za pomocą jakiegoś podstępny losu w tem Bruges, tak dalekiem od jego pierwszych wspom-

nień ukazała mu się twarz, która je wszystkie znowu powołała do życia.

Hugo cały się oddał czarowi tego podobieństwa Jane z Umarłą; czynił to z tą samą namiętnością, z jaką unosił się wpierw nad podobieństwem swego losu do losów tego miasta.

VII.

Odkąd Hugo poznał Jane, t. j. od paru miesięcy, nic nie zamąciło kłamstwa, dzięki któremu odżył nanowo. Jakże bardzo zmieniło się jego życie! Nie czuł się już samotnym w olbrzymiej pustce, jak dawniej. Jane znowu powołała do życia miłość jego, która wydawała mu się tak nieskończenie daleką i niedościgłą, miłość tak podobną do dawnej, jak odbicie księżyca w wodzie. Dotąd nie zamąciła tego odbicia żadna zmarszczka, żadne drgnięcie wody pod wpływem złego wiatru. W tem widmie podobieństwa Hugo czuł pamięć swej żony tak dalece, że ani na chwilę nie powstało w nim przypuszczenie, iż jest to brakiem wierności wobec jej pamięci, jej kultu.

Co rano, jak i nazajutrz po śmierci jej, odbywał swoje nabożeństwo—jak stacye krzyżowej, drogi miłości—przy pamiątkach po niej pozostałych. Co rano, zaraz po wstaniu, długo błądził w cieniu milczących salonów, o wpół-przymkniętych żaluzjach, pośród zawsze jednako ustawionych mebli; stawał pełen wzruszenia przed portretami swej żony: oto fotografia jej, kiedy była młodą dziewczyną, niedługo przed zaręczynami; oto pośrodku ściany, wielki pastel, mieniąca się szyba którego to ukazuje, to ukrywa jej sylwetkę nękającą; tu, na półce, inna fotografia w oksydowanej ramce, wizerunek z lat ostatnich, na którym ma już twarz cierpiącą, postać chylącej się lilii... Hugo dotykał tych fotografii ustami, całował je, jak relikwie. Co rano patrzył na kryształowe pudelko, w którym spoczywały, zawsze widoczne, jej włosy. Lecz nie podnosił wieka.

Nie ośmielał się dotknąć ich, ani zapuścić w nie palce. Te włosy były święte, były one tą cząstką Umarłej, która uniknęła mogiły, by spać snem spokojnym tu, w szklanej trumnie. Lecz pochodziły od Umarłej i same były czemś martwym; nie należało więc ich dotykać nigdy. Wystarczało mu spojrzenie na nie, świadomość, że

są całe i nietknięte, że są zawsze obecne te włosy, od których zależało całe życie domu.

W ciągu długich godzin odświeżał swoje wspomnienia, podczas gdy świecznik nad jego głową w milczącej ciszy salonów wydzwaniał swojemi kryształowemi wisiorkami jakąś żalną skargę.

A potem szedł do Jane, jakby do ostatniej stacyi swego kultu. Jane posiadała całe i żywe włosy, była jakby najbardziej podobnym portretem Umarłej. Któregoś dnia przyszła mu dziwaczna myśl spotęgowania tego podobieństwa, aż do identyczności; myśl ta opanowała go zupełnie. Po swojej żonie zachował on nietylko drobiazgi i portrety. Pragnął zachować wszystko, jakby ona była tylko nieobecna. Nie rozdał, nie sprzedał, nie zgubił żadnej rzeczy. Pokój jej był gotów zawsze na jej przyjęcie—gdyby wróciła—zupełnie podobny do dawnego, z zawsze świeżą gałązką bukszpanu. Jej bielizna leżała nie tknięta — trochę tylko poźółka — w szufladach pełnych wonnych poduszeczek, chroniących ją od zniszczenia. Wszystkie jej suknie wisiały w szafach—popelinowe i jedwabne pokrowce, pozbawione życia. Hugo lubił czasem patrzeć się na nie w obawie

zapomnienia czegokolwiek, w chęci uwiecznienia swego żalu...

Miłość, jak i wiara, utrzymuje się przez spełnianie drobnych praktyk.

Otóż któregoś dnia powstała w jego myśli dziwna chęć zobaczenia Jane, ubranej w jedną z tych sukien Umarłej. Myśl skutecznienia tej chęci prześladowała go. Dorzucić do podobieństwa twarzy dawny strój, który niegdyś widział na postaci tak bardzo podobnej — było to posunąć podobieństwo aż do identyczności. Będzie mu się zdawało, że to naprawdę jego żona wróciła.

O, cudna chwila, w której Jane zbliży się do niego tak ustrojona, chwila, w której zniknie czas i rzeczywistość, chwila kompletnego zapomnienia!

Ta myśl prześladowała go nieustannie. Zdecydował się nareszcie. Któregoś dnia zawołał swoją starą służącą i kazał jej znieść ze strychu walizę, w której mógłby przewieźć niektóre z tych drogich sukien.

— Pan wyjeżdża?—zapytała stara Barbara, która nie mogąc wytłómaczyć sobie nowego trybu życia swego pana, dawniej tak zamkniętego w sobie, nie mogąc zrozumieć jego częstych nie-

obecności i jądania po za domem, zaczęła posądzać go o dziwactwo.

Musiała mu pomódz w wyborze sukien i otrząśnięciu ich z kurzu, unoszącego się jak obłok z nieruchomych szaf.

Wybrał dwie ostatnie suknie Umarłej i starannie spakował je do walizy, poprawiając spódnice, układając fałdy.

Barbara nic nie rozumiała—lecz gorszyło ją to, że coś ruszają w tej szafie, do której się nigdy nikt przedtem nie dotykał. Czyżby chciał je sprzedać? I zdecydowała się na uwagę.

— A coby na to powiedziała biedna pani?

Hugo zbladł. Spojrzał na nią. Czyżby odgadła? czyżby wiedziała cośkolwiek?

— Co chcesz przez to powiedzieć?—spytał.

— Myślę,—odrzekła stara Barbara,—że w mojej wiosce we Flandryi sprzedają rzeczy po umarłym albo zaraz po jego śmierci, albo już przechowują je aż do końca swego życia, gdy inaczej umarły zostaje w czyścću aż do naszej śmierci.

— Bądź spokojną—rzekł Hugo.—Nie mam zamiaru sprzedawania czegokolwiek. Twoja legenda jest słuszną zupełnie.

Barbara osłupiała więc, gdy wkrótce potem

Hugo, wbrew temu, co powiedział, zabrał walizę na dorożkę i odjechał razem z nią. Hugo nie wiedział, jak powiedzieć Jane o swoim szalonym pomysle; nigdy przedtem nie mówił z nią o swojej przeszłości, z poczucia delikatności wobec Umarłej; nigdy nie napomknął nawet o tem słodkiem i okrutnem podobieństwie, które go ku niej pociągało.

Gdy wniósł walizę, Jane zaczęła skakać z radości i krzyknęła:

— Niespodzianka! Rozpieszcza ją! jakieś podarunki? suknie?...

— Tak, suknie—odpowiedział Hugo machinalnie.

— Ach, jakiś ty miły! więc ich jest kilka?

— Dwie.

— Jakiego koloru? Pokaż prędko!

Podeszła, wyciągając rękę, prosząc o klucze. Hugo nie wiedział, co powiedzieć. Nie śmiał mówić, bał się zdradzić, nie chciał tłómaczyć się z chorobliwej fantazyi, której uległ.

Gdy otworzono walizę, Jane wyjęła suknie, obejrzała je jednym rzutem oka i z miną natychmiast rozczarowaną:

— Jakiż brzydki fason! I ten rysunek na

edwabiu, jakie to stare, stare! Gdzieżeś ty kupił takie suknie? A te draperye na spódnicy! Toż to noszono przed 10 laty. Ty kpisz ze mnie chyba!

Hugo stał niepewny i bardzo zawstydzony. Szukał słów, jakiegoś prawdopodobnego wytłomaczenia, nie chciał mówić prawdy. Widział już, jak dziwnym był jego pomysł, lecz chodziło mu tak bardzo o urzeczywistnienie go!

Och, żeby się tylko zgodziła! Żeby włożyła jedną z tych sukien choćby na chwilę! i ta chwila, gdy ją zobaczy ubraną, jak tamta, będzie dla niego spotęgowaniem podobieństwa, nieskończonością zapomnienia. Zaczął tłumaczyć głosem pieściwym:

— Tak, to są stare suknie, które odziedziczył... po krewnej... istotnie chciał zażartować... chciał zobaczyć ją, ubraną w jedną z tych starych sukien. To szaleństwo; lecz ma na to taką ochotę... choć na jedną chwilę!...—Jane nic nie rozumiała; śmiała się, oglądała każdą suknię ze wszystkich stron, oceniała materyał, bogaty jedwab odrobinę wyblakły, zdumiona, że ten dziwny i trochę śmieszny fason mógł niegdyś być modny i elegancki.

Hugo nalegał.

— Ależ będę brzydko wyglądała!

Najpierw zdumiona tym kaprysem, Jane narzecznie zdecydowała, że zabawnie będzie ustroić się w te stare suknie.

Śmiejąc się i dokazując, zrzuciła szlafrok i obnażonemi ramionami poprawiała koronki gorsetu i koszuli, by włożyć jedną z tych sukien — dekolowaną.

Stojąc przed lustrem, śmiała się ze swego odbicia.

— Wyglądam, jak stary portret.

Wykrzywiła się, robiła miny, weszła na stół podnosząc suknie, by móżdż się lepiej obejrzeć, trzęsła się od śmiechu, a rąbek koszuli, wysunąwszy się z za stanika, leżał na nagim ciele, mniej odeń niewinny, wywołujący skojarzenie zmysłowe.

Hugo obserwował. Chwila, o której myślał, jako o punkcie kulminacyjnym, najwyższym, stała się czemś trywialnem i plugawem. Jane bawiła się tą maskaradą. Chciała teraz zmierzyć drugą suknię i w napadzie szalonej wesołości zaczęła tańczyć, podskakując, opanowana przez choreografię.

Hugo czuł w duszy coraz to wzrastający

niesmak, zdawało mu się, że jest na jakiejś bolesnej maskaradzie. Poraz pierwszy podobieństwo fizyczne nie wystarczało. Działo jeszcze, lecz w kierunku odwrotnym. Bez tego podobieństwa Jane byłaby mu się wydała tylko ordynarną. Wskutek podobieństwa sprawiła na chwilę okrutnie bolesne wrażenie, że widzi Umarłą, lecz spodłoną, pomimo tej samej sukni i tej samej twarzy;—wrażenie, którego się doznaje, gdy w dzień procesyi spotyka się wieczorem, w świetle latarni, płonących w ciemnościach krwawym blaskiem, odtwórczynie Madonny i świętych, przystrojone jeszcze w płaszcze i tuniki, lecz już trochę pijane i opanowane szalem mistycznym.

VIII.

Pewnej marcowej niedzieli—była to właśnie Wielkanoc—Hugo zapowiedział starej Barbarze, że nie będzie jadł w domu ani obiadu, ani kolacy i że jest wolna aż do wieczora. Ucieszyło ją to bardzo. W to wielkie święto będzie mogła pójść do klasztoru Beginek i być obecną na wszystkich nabożeństwach, a resztę dnia spędzi u swej krewnej, siostry Rozalii, która mieszkała w jednym z głównych gmachów klasztoru.

Pójście do klasztoru było największą, jedyną radością Barbary. Wszyscy ją tam znali. Miała kilka przyjaciółek pomiędzy Beginkami i marzyła o tem, że gdy będzie już bardzo stara i oszcze-

dzi trochę grosza, kiedyś sama wstąpi do klasztoru i ostatnie dni swego życia spędzi, jak tyle innych kobiet—tak bardzo szczęśliwych, które widywała tam i których stare głowy, jakby z kości słoniowej rzeźbione, osłonięte były kornetem zakonnym.

W ten wczesny i marcowy poranek ze szczególną rozkoszą szła do swego ukochanego klasztoru, szła krokiem jeszcze szybkim, ubrana w swój szeroki, czarny płaszcz z kapturem, kołyszącym się, jak dzwon, za każdym jej krokiem.

Z oddali już dolatywały ją dźwięki dzwonów, dostrajały się do jej kroków; były to dzwony wszystkich parafialnych kościołów, a wśród nich wyróżniała się wątła, drżąca melodyjka kurantów, bijąca co kwadrans, wygrywana jakby na szklanym fortepianie...

Młoda, wiośniana zieloność nadawała przedmieściu pozór wsi. Choć Barbara już od trzydziestu lat była na służbie w mieście, zachowała głębokie umiłowanie swojej wsi, zachowała duszę wieśniaczki, wzruszającą się odrobiną zieloności i trawy.

Cudny poranek! Gdy szła swym szybkim krokiem w jasnym świetle słońca, wzruszając się krzykiem ptaka, wonią młodych pędów, rosnących

na tem przedmieściu prawie, już wiejskiem, gdy patrzyła na osady, zieleniące się naokoło Minnewater—jeziora miłości, jak go nazwano — albo, lepiej: wodzie, przy której się kocha! na ten staw drzemiący, na nenufary, które wyglądają jak serca dziewcząt, idących do pierwszej komunii, gdy widziała zieleniące się brzegi, pełne kwiatów wiosnianych i wielkie drzewa, a na horyzoncie ruchliwe skrzydła wiatraków—doznawała wrażenia, jakby podróż jej była powrotną drogą do jej dzieciństwa, drogą, wiodącą przez łąki i pola. Była to dusza nabożna;—wiera jej, typowo flamadzka, zachowała w sobie coś z katolicyzmu hiszpańskiego, w którym więcej jest grozy i wątpliwości, niż ufności, w którym obawa piekła jest znacznie mocniejsza, niż tęsknota za Niebem. A przytem wszystkiem właściwe jej rasie zamiłowanie do dekoracyi, zmysłowe ukochanie kwiatów, zapachu kadzideł, bogactwa draperyi.

Z tych powodów ciasna dusza starej sługi wpadała w zachwyty w przewidywaniu wspaniałej wystawności nabożeństwa, już przy przechodzeniu po łukowatym moście klasztoru, prowadzącym do mistycznej świątyni.

Już tutaj owinęła ją cisza kościelna, nawet

szmer wątłych strumyczków, wpadających do jeziora, dolatywał jakby szept modlących się ust; a naokoło mury, otaczające klasztor, niskie mury, białe, jak obrusy ołtarzowe. A pośrodku gęsty trawnik, jakby łąka, malowana przez Jana van Eyck'a, na której pasie się baranek wielkanocny.

Wązkie uliczki, noszące imiona świętych i błogosławionych kręcą się, płaczą, wydłużają, tworząc średniowieczną osadę, małe miasteczko odrębne, różne od miasta, do którego należy, bardziej jeszcze umarłe. Takie jest puste to miasteczko, takie nieme—panująca w niem cisza tak dalece udziela się każdemu, że się tam cicho stąpa, że się tam szeptem mówi, jak w pokoju chorego.

Jeśli wypadkiem zbliży się jakiś hałaśliwy przechodzień—to ma się wrażenie, że stało się coś anormalnego, że popełniono świętokradztwo. Do tego przygasłego nastroju pasują jedynie postacie Beginek, o posuwistym chodzie; one nie chodzą, lecz prześlizgują się po powierzchni i same są jak łabędzie—jak siostry białych łabędzi, pływających po długich kanałach. Kilka z nich, zapóźnionych, właśnie śpieszy pod cieniem więzów do kościoła, z którego dolatują dźwięki orga-

nów i śpiewy mszalne. Barbara weszła jednocześnie z Beginkami, które skierowały się ku rzeźbionym stallom, stojącym w dwa rzędy obok chóru. Jeden nad drugim wznosiły się szeregi białych kornetów, o nieruchomych skrzydłach, a słońce, przedzierając się przez witraże, barwiło je czerwienią i szafirem. Barbara patrzyła zdaleka i z radością na grupę klęczących Sióstr, małżonek Chrystusa i sług Bożych, marząc, że kiedyś i ona ukłęknie w ich szeregu...

Usiadła w dolnej części kościoła, obok kilku wiernych, obcych, jak i ona: starców, dzieci, biednych rodzin, mieszkających w domach klasztoru, który powoli zaczynał się wyludniać. Nie umiejąc czytać, Barbara przesuwiała ziarna wielkiego różańca, modląc się całą duszą i chwilami tylko zerkając w stronę Siostry Rozalii, swej krewnej, zajmującej drugie miejsce w stallach po Matce Przełożonej.

Jakżeż piękny był kościół, cały lśniący od palących się świec woskowych! Podczas Ofiarowania Barbara poszła kupić maleńką świeczkę u siostry zakrystyanki, stojącej obok trójkątnej ramy żelaznej, i wkrótce świeczka starej sługi zajaśniała obok innych.

Od czasu do czasu patrzyła na zmniejszanie swojej świecy, którą rozpoznawała dobrze.

Jakże była szczęśliwa! Księża mają rację, mówiąc, że kościół jest domem Bożym! Szczególniej zaś czuło się to tu, w klasztorze, gdzie siostry śpiewały głosami słodkimi, jak głosy aniołów.

Barbara nie mogła nasłuchać się dźwięków organu i śpiewów, wznoszących się ku niebu, jak białe zwoje.

Lecz suma już się skończyła — gaszono świece.

Zakonnice wyszły wszystkie razem, falując białymi kornetami, i upstrzyły na chwilę zieloność ogródka bielą ich skrzydeł, jak stado odlatujących mew. W pewnej odległości, pełnej szacunku, szła za swą krewną Barbara; później, gdy zobaczyła, że tamta już wchodzi do swojego domku, przyspieszyła kroku i za chwilę wchodziła już tam sama. Beginki mieszkają po kilka w małych domkach, z których się składa klasztor. W niektórych trzy, lub cztery, w innych od piętnastu do dwudziestu. Domek siostry Rozalii był licznie zamieszkały; w chwili, gdy Barbara weszła, wszystkie siostry gwarzyły, śmiały się, rozmawiały w wiel-

kiej pracowni. Z powodu święta koszyki do szycia i ramki do robienia koronek ustawione były w rogach sali. Niektóre z sióstr, stojąc przed domkiem w ogródku, przyglądały się roślinom i kwiatom, rosnącym na grządkach, otoczonych bukszpanem. Inne—młodsze—pokazywały sobie otrzymane podarunki, jajka wielkanocne, upięk-szone cukrem lodowatym. Barbara, nieco onie-śmielona, chodziła wszędzie ze swoją krewną, do pokojów, do poczekalni, gdzie napływały coraz to nowe wizyty; bała się pozostać samą, bała się, by jej nie uważano za intruza, czekała z pewnym niepokojem, czy też ją zaproszą na obiad, jak zwykle. A nuż przyjdzie dziś tak dużo krewnych, że dla niej nie będzie już miejsca?

Uspokoila się, gdy siostra Rozalia zaprosiła ją w imieniu Przełożonej, przepraszając, że musi ją na chwilę zostawić samą, bo jest bardzo zajęta, gdyż właśnie wypadł jej tydzień kierowania gospodarstwem, co Beginki czynią zwykle po kolei.

— Pomówimy po obiedzie—dodała.—Tem-bardziej, że mam ci coś bardzo ważnego do po-wiedzenia.

— Coś ważnego? — spytała przerażona Bar-bara.—Więc proszę mi to powiedzieć zaraz.

— Nie mam czasu... do widzenia..

I umknęła przez korytarz, pozostawiając Barbarę, pełną trwogi. Coś ważnego? Co to być może? Nieszczęście jakieś? Lecz nie miała na świecie nikogo bliskiego, prócz tej jedynej krewnej.

Więc chodziło o nią. Co mogli jej zarzucić? O co ją obwiniają? Nigdy nie oszukała nikogo ani na grosz. Gdy szła do spowiedzi, prawdę nie wiedziała, o czym ma mówić, jaki grzech sobie przypisać.

Czekała, pełna niepokoju. Siostra Rozalia, mówiąc do niej, miała minę tak poważną, prawie surową! Minęła dobra radość dnia. Nie mogła już się śmiać, nie miała ochoty przyłączyć się do wesołych gromadek, gwarzących, oglądających zaczęte koronki o nowym rysunku.

Siedząc sama na boku, rozmyślała o tej nieznannej rzeczy, którą miała powiedzieć jej siostra Rozalia.

Gdy wszyscy usiedli do stołu w długim refektarzu i, po głośniejszej modlitwie, różowe i zdrowe Beginki i ich krewne zabrały się do jedzenia i uczcily należycie ten świąteczny obiad, Barbara ledwo dotknęła jedzenia. W dzień ten podano wino — gęste i złote wino z Tours. Barbara wy-

piła szklanekę, myśląc, że utopi w niem swe troski. Zamiast tego, dostała migreny.

Uczta wydała jej się nieskończenie długą. Gdy się skończyła nareszcie, podbiegła do siostry Rozalli, pytając ją wzrokiem. Ta zauważyła jej niepokój i starała się ją uspokoić.

— Nic strasznego, Barbaro! nie niepokójżeź się tak bardzo!

— Co się stało?

— Ależ nic! nic bardzo ważnego. Chciałam ci dać maleńką radę.

— Przeraziłaś mnie...

— Jeżeli mówię, że to nic ważnego, mam na myśli chwilę obecną. Lecz rzecz może stać się poważną. Chodzi o to, że będziesz zapewne zmuszona zmienić miejsce.

— Zmienić miejsce? A to dlaczego? Oto już pięć lat, jak jestem u p. Viane. Przywiązałam si do niego, bo był nieszczęśliwy i on jest do mnie przywiązany. To najuczciwszy człowiek na świecie.

— Ach, biedaczko, jakże jesteś naiwną! Otóż właśnie, że nie jest on najuczciwszym człowiekiem na świecie!

Barbara zbladła bardzo i spytała:

— Co chcesz przez to powiedzieć? co złego uczynił mój pan?

Wówczas siostra Rozalia opowiedziała jej historię, która obiegła całe miasto i doszła aż do tego cichego zakątka; opowiedziała o złem prowadzeniu się tego, czyj przejmujący i niepocieszony ból był niegdyś przedmiotem zachwytu dla wszystkich. Pocieszył się w sposób ohydny! Bywał teraz u kobiety złego prowadzenia, dawnej tancerki...

Barbara drżała; przy każdym słowie tłumiała wewnętrzne oburzenie; czciła swoją krewną i te, tak obraźliwe, tak nieprawdopodobne oskarżenia, nabierały w jej ustach znaczenia pewnika. Więc to było powodem tej zmiany, której nie rozumiała przedtem, więc stąd to częste wychodzenie, to niejadanie w domu, to późne wracanie, te nocne nieobecności..

Beginka mówiła dalej:

— Czy rozumiesz, Barbaro, że uczciwa służka chrześcianka nie może dłużej pozostawać w służbie u człowieka, który stał się bezbożnikiem?

Przy tem słowie Barbara wybuchnęła: to było niemożliwe! to wszystko są oszczerstwa, których ofiarą padła siostra Rozalia. Taki dobry pan,

który tak uwielbiał swą żonę! przecież na własne oczy widziała, jak codziennie płakał przed portretami nieboszczki; przecież jej włosy przęchowa-
wuje, jak relikwię.

— To, co ci mówię, jest prawdą — odrzekła spokojnie siostra Rozalia.—Wiem wszystko. Znam nawet dom, w którym mieszka ta kobieta. Jest na mojej drodze do miasta i nie jeden raz widziałam p. Viane, wchodzącego tam i wychodzącego.

To już było wyraźne. Barbara umilkła, zwyciężona. Nic nie odpowiedziała, lecz zamyśliła się głęboko, a na czole, pomiędzy brwiami, ukazała się zmarszczka. Potem powiedziała tylko: „Pomyślę o tem” i pozostała sama na chwilę, gdyż przywołano siostrę Rozalię do jej obowiązków.

Stara służąca pozostała bezsilna, ogłupiała, z zamąconemi myślami, zaskoczona tą nowiną, niweczącą wszystkie jej nadzieje, niszczącą całą jej przyszłość. Była przywiązana do swego pana i rozstanie się z nim będzie dla niej bolesne. Po drugie — gdzie znajdzie służbę tak dobrą, łatwą i zyskowną? Na tej kawalerskiej gospodarce mogła była dopełnić swoich oszczędności, uskładać mały posag, konieczny przy wstąpieniu do klasztoru Beginek, w którym myślała spędzić

dnie swe ostatnie. Jednakże siostra Rozalia miała rację. Nie mogła pozostać dłużej na służbie u człowieka, gorszącego bliźnich.

Wiedziała, że nie wolno służyć u bezbożników, którzy się nie modlą, nie spełniają przykazań kościelnych, nie obserwują postów i suchych dni. To samo tyczy się rozpustników. Są oni jeszcze bardziej grzeszni. Księża podczas kazań i rekolekcyi grożą im najgorszymi mękami piekła. I Barbara odpychała od siebie nawet myśl o zetknięciu się z grzechem Rozpusty, żegnając się przy wymówieniu samej nazwy jego.

Co postanowić? Pozostawała w niepewności w ciągu niesporów i uroczystego Pozdrowienia, na które wróciła do kościoła z całym zgromadzeniem. Prosiła Ducha Świętego, by ją oświecił; modlitwa jej została wysłuchana, gdyż, wychodząc, powzięła postanowienie.

Ponieważ jest to wypadek zawikłany i przenoszący jej rozumienie, pójdzie natychmiast do swego spowiednika do kościoła Najświętszej Panny i usłucha ślepo rady jego. Ksiądz, któremu opowiedziała wszystko, co słyszała, i który od kilku lat znalazł tę istotę prostą, prawą, łatwo się dręczącą skrupułami, dzięki którym ta biedna, ciemna du-

sza była naprawdę jakby najeżona cierniami, postarał się ją uspokoić, radził, aby nie przyśpieszała decyzji. Jeżeli nawet to wszystko, co mówił o jej panu, było prawdą, i on ma jakiś stosunek zakazany, musiała jeszcze rozróżnić pewne rzeczy co do siebie samej: o ile te spotkania miały miejsce po za domem, powinna je ignorować, w każdym razie nie przejmować się nimi zbyt; gdyby zaś nieszczęście chciało, żeby ta kobieta złego prowadzenia przychodziła do domu jej pana z wizytami, na obiady i t. d., w takim wypadku nie powinna była stawać się współniczką rozpusty i obowiązkiem jej było podziękować za służbę i odejść.

Barbara poprosiła o powtórzenie jej raz jeszcze tej różnicy; gdy już zrozumiała nareszcie o co chodzi, wyszła z konfesyonału i, po krótkiej modlitwie, opuściła kościół; skierowała się do wybrzeża Różańcowego do domu, z którego wyszła dziś rano tak pełna szczęścia i który (czuła to dobrze) będzie musiała opuścić wcześniej, czy później;...

Ach, jakżeż trudno jest przedłużyć chwile radości! Wracała przez martwe ulice, pełna smutku, że na zielone przedmieścia, na mszę, na białe

śpiewy, na wszystko spada już noc; myślała o blizkim odjeździe, o nowych twarzach, o panu swoim, który wpadł w grzech śmiertelny; i o tem także, że przypadła dla niej na zawsze nadzieja spędzenia reszty dni swoich w klasztorze Beginek i że w podobny wieczór będzie musiała umrzeć kiedyś samotna w przytulku, okna którego wychodzą na kanał...

IX.

Hugo doznał wielkiego rozczarowania od chwili, gdy przyszedł mu do głowy dziwaczny kaprys ubrania Jane w jedną z sukien Umarłej. Chybił celu. Pragnął, by te dwie kobiety zwały się w jedną, a podobieństwo pomiędzy nimi się zmniejszyło. O ile były oddalone od siebie, przedzielone mgłą śmierci — złudzenie było możliwe. Gdy się je zbyt zbliżyło — ukazały się różnice.

Z początku był olśniony odnalezieniem tej samej twarzy i wzruszenie jego dopełniało iluzję; pragnąc wyszczególnić podobieństwo, zaczął się dręczyć z powodu odcieni.

Podobieństwa polegają przedewszystkiem na

liniach i całości. Jeżeli zwrócimy się do szczegółów — wszystko staje się inne. Hugo nie zauważył, że to on sam zmienił swój sposób patrzenia, zestawiając szczegóły i zwracając na nie większą uwagę, i przypisywał winę Jane, uważając, że to ona się zmieniła. Istotnie, miała zawsze te same oczy. Lecz jeżeli oczy są oknami duszy—to wyzierała z nich inna dusza, niż zawsze przed nim obecnych oczu Umarłej! Jane, z początku słodka i powściągliwa, opuściła się z biegiem czasu. Zalatywał od niej zapaszek kulis i teatru. Zbliżenie się i pewna poufalość stosunku wyzwoliły w niej swobodę zachowania się, gwałtowną i rozpasaną wesołość, rozwiązały język; wróciła do dawnego zwyczaju niedbałego ubierania się: całymi dniami chodziła nieuczesa i w nieporządnym szlafroku. Raziło to niezmiernie wytworną naturę Hugona. Bywał jednakże u niej, starając się uchwycić znikający miraż. Wolno płynące godziny! Smutne wieczory! Potrzebował słyszeć dźwięk tego głosu. Pił jeszcze głęboki jego ton. I cierpiał z powodu słów, tym głosem mówionych. Jane zaś męczył ten zły humor jego, nudziły długie milczenia. Zdarzało się teraz, że gdy przychodził wieczorem, jej jeszcze nie było

w domu, gdyż spóźniała się z powodu wędrówek swoich po mieście, sprawunków, przymierzania sukien. Przychodził w innych godzinach, w dzień, rano lub po południu. Często wychodziła, nie lubiąc siedzieć w domu, nudząc się w mieszkaniu, wiecznie błędząc po ulicach. Gdzie chodziła? Hugo wiedział, że nie miała żadnej przyjaciółki. Cekał na nią; nie lubił siedzieć sam, wołał spacerować w pobliżu, czekając na jej powrót. Niepokojny, smutny, bojąc się spojrzeń ludzkich, szedł bez celu, zbaczając z drogi, przechodząc z chodnika na chodnik, wychodził na sąsiednie wybrzeża, szedł brzegiem wody, dochodził do symetrycznych placyków, pełnych żalosnej skargi drzew. Zagłębiał się w nieskończoną gmatwaninę szarych ulic.

Ach, ta wieczna szarość ulic Bruges! Hugo czuł, że jego dusza coraz to bardziej poddaje się temu nastrojowi szarości. Odczuwał hipnotyzujący wpływ rozsianego wszędzie milczenia i bezludnej pustki; spotykał zaledwie parę staruszek, sunących, jak cienie, w czarnych płaszczach z kapturami; wracały zwykle z kościoła Św. Sakramentu, gdzie chodziły zapalać świeczkę. Dziwna rzecz! nigdzie się nie spotyka tylu starych kobiet, jak

w starych miastach. Idą stare, koloru ziemi, i milczą, jakby wyczerpały już cały zapas słów... Hugo zaledwie je spostrzegł, idąc naoslep, zbyt pogrążony w swe dawne cierpienia i nowe troski. Machinalnie wracał do domu Jane. Jeszcze niema nikogo! I znów szedł, wahał się, błądził po kalekich uliczkach i nieznaczenie wychodził na wybrzeże Różańcowe. Wówczas decydował, że wróci do domu; do Jane pójdzie później, wieczorem; siadał na fotelu, próbował czytać; po chwili, zmęczony samotnością, zgęębiony chłodnem milczeniem wielkich korytarzy—wychodził znowu.

Wieczór... mżył drobny deszczyk, zwiększał się, wydłużał, klął jego duszę. Hugo znów był zdobyty, oczarowany podobieństwem, coś pchało go do mieszkania Jane; szedł tam, zbliżał się, wracał, ogarnięty nagle potrzebą samotności, bojąc się teraz, że ona jest w domu, że czeka na niego, nie chciał już jej widzieć.

Szybkimi krokami szedł w przeciwnym kierunku przez stare, nieznane dzielnice, szedł po błocie, niepewny, nieszczęśliwy.

Deszcz się zwiększał, wydłużały się jego nici, płątała się tkanina, zmniejszały się oczka i stawał się jakąś niewidzialną, mokrą siecią, w której Hu-

go czuł, że mięknie. Zaczynał wspominać... myślał o Jane. Co robi ona w tej porze w tę okropną pogodę? Myślał o umarłej... Co się z nią dzieje? Ach, na jej biednej mogile ta ulewa zrujnowała zapewne wszystkie wieńce, wszystkie kwiaty...

A dzwony dzwonią—tak dalekie—tak blade! Jakże dalekie jest miasto! Wydaje się, że go już nie ma, że roztopiło się, odeszło, zatopione deszczem...

O smutki podobne! Z najwyższych dzwonnicy spływają dźwięki dzwonów i boleją nad Umarłym Bruges!

X.

W miarę tego, jak zanikało wzruszające omamienie, Hugo coraz to bardziej zwracał się ku Miastu, zlewając swoją duszę z jego duszą, siłąc się uchwycić to drugie podobieństwo, które go tak bardzo zajmowało w pierwszych latach wdowieństwa, zaraz po przyjeździe do Bruges. Teraz, gdy Jane już przestała mu się wydawać zupełnie podobną do Umarłej, stawał się sam coraz bardziej podobny do miasta.

Czuł to głęboko podczas ciągłych i jednostajnych wędrówek swoich przez puste ulice. Doszedł bowiem do tego, że nie — mógł przebywać w domu, przerażony samotnością swego mieszka-

nia, wiatrem, łkającym w kominach, wspomnieniami, które tłoczyły się, jak natrętne spojrzenia. Przez cały dzień prawie był poza domem, błędził bez celu, opuszczony, niepewny Jane i uczuć swoich dla niej.

Kochał-żeż ją naprawdę? A ona — co ukrywała: obojętność czy zdradę? O, ta dręcząca niepewność! Te smutne, krótkie zimowe popołudnia! Ta lekka mgła, gęstniejąca nagle! Czuł, że ta mgła zaściela mu duszę i że wszystkie myśli jego tępieją, zatopione w szarym letargu!

Ach to Bruges w wieczory zimowe!

Znowu czuł wpływ miasta na swoją duszę: uczył się milczenia od nieruchomych kanałów, które spokojowi swemu zawdzięczają obecność szlachetnych łabędzi, milczące wybrzeża nauczyły go rezygnacyi, a od wysokich dzwonnicy Najświętszej Panny i Zbawiciela, zawsze widocznych w perspektywie ulic, płynęła rada pobożności i powagi. Podnosił na nie mimowoli oczy, jakby u nich chciał szukać pomocy i schronienia; lecz wieże drwiły z jego nędznej miłości. Zdawało się, że mówiły: Patrz na nas! Jesteśmy samą wiarą! Nie-rozweselone uśmiechem rzeźby, wyglądamy, jak twierdze powietrzne i unosimy się prosto do Bo-

ga. Rycerskie jesteśmy dzwonnice! I Zły Duch
stępił o nas swe strzały!

Ach tak! Jakże Hugo pragnął być takim!
Być tylko wieżą, unoszącą się ponad życiem! Nie
mógł się, niestety, pochwalić, jak one, że już
tryumfował z wysiłków Złego Ducha. Przeciwnie —
ta namiętność, z powodu której teraz cierpiał, jak
opętany, zdawała się właśnie być dziełem Dyabła.

Przypomniały mu się historye satanizmu, wy-
czytane w księgach. Czyż nie miał pewnych
podstaw ten lęk przed wiedzą tajemną, ta obawa
urzeczeń? I czy ta namiętność nie była jakby
dalszym ciągiem umowy jakiejś, żądającej krwi
i pchającej go do dramatu? Hugo czuł chwilami,
że cień śmierci zbliża się ku niemu.

Chciał oszukać Śmierć, zatryumfować nad
nią, zakpić z niej przez wyszukany podstęp podo-
bieństwa. Śmierć — być może — zapragnęła
zemsty.

Lecz będzie mógł uniknąć tego, wypędzić
zawczasu złego ducha! I błędząc po dzielnicach
wielkiego, mistycznego miasta, podnosił z błaga-
niem oczy do wież miłosiernych, do kojącego
dźwięku dzwonów, do litościwych Madonn, z głębi

nisz otwierających ramiona na rogu każdej ulicy, Madonn, otoczonych świecami i różami pod kłosem szklanym, wyglądającym jak szklana trumna, pełna umarłych już kwiatów.

Tak otrząśnie z siebie zły urok! Czuł skruczę. Sprzeniewierzył się Boleści. Lecz spełni pokutę. Stanie się znowu tem, czem był. Już stawał się przecie podobny do miasta. Stawał się w milczeniu i melancholii bratem tego podobnego Bruges. — Soror dolorosa. Ach, jakże dobrze uczynił, przyjeżdżając tutaj w epoce swej wielkiej żaloby! Nieme analogie.

Wzajemne przenikanie się rzeczy i dusz! — Szczególnie miasta posiadają taką indywidualność, — samodzielną myśl, wyraźny charakter, odpowiadający radości, młodej miłości, wyrzuczeniu, wdowieństwa. Każde miasto jest stanem duszy, a gdy się w niem przebywa, ten stan duszy udziela się nam, rozchodzi się w nas, jak płyn zaszczepiony; wchłaniający go w siebie razem z powietrzem.

Hugo odrazu odczuł ten łagodzący, delikatny wpływ Bruges i dzięki niemu zrzekł się nadziei,

rzekł się wszystkiego, prócz wspomnień i oczekiwania dobrej śmierci.

I oto teraz jeszcze, pomimo świeżych udręczeń, cierpienie jego bladło, rozpraszając się w długich kanałach o cichych wodach i usiłował znów upodobnić się duszy Miasta.

XI.

Otóż Bruges ma przedewszystkiem duszę wierzącą. Słyną odeń prądy wiary i wyrzeczenia; unoszą się one ze ścian przytułków i klasztorów, z licznych kościołów, jakby klęczących w kamiennych habitach. Zaczęło ono wywierać na Hugona swój wpływ potężny i narzuciło mu uległość. Stało się znów Istotą, towarzyszem jego życia, który rozkazuje, odradza, rządzi, na którego się oglądamy i z którego czerpiemy wszystkie racje czynów naszych.

Hugo wkrótce poczuł, że znów go opanowało mistyczne oblicze Miasta, że wyzwala się powoli z pod wpływu kłamstwa i zmysłów, płynących

od kobiety. Mniej go obchodziła teraz; tem głębiej za to wsłuchiwał się w dźwięki dzwonów. Nieustanny ich głos towarzyszył mu podczas wędrówek wieczornych, gdy, błędząc bez celu wzdłuż wybrzeży, szukał ukojenia smutku, opadającego go z nową siłą.

Ranił go ten nieustanny dźwięk dzwonów, ten odgłos pogrzebowy, wzywający jakby na modlitwę za umarłych; dzwoniono na jutrznie i nieszpory, przez całe dnie więc kołysały się czarne niewidzialne kadzielnice, z których dźwięki ulatywały jak kłęby dymu.

O, to nieprzerwane dzwonienie, to wielkie nabożeństwo żałobne, śpiewane nieustannie w powietrzu! Szedł odeń wstręt do życia, jasne zrozumienie próżności wszech rzeczy i przecucie zbliżającej się śmierci...

Na pustych ulicach, o nielicznych, migocących latarniach, spotyka się zrzadka sylwetki kobiet z ludu, ubranych w długie płaszcze sukienne, czarne, jak dzwony brązowe i kołyszące się, jak one. Te dzwony i te płaszcze tworzą jakiś nieustanny pochód w kierunku kościoła. Hugo czuł na sobie wpływ tego wszystkiego. Szedł w ślady kobiet i dzwonów; opanowała go znów żarliwość

religijna, roztaczająca się dokoła. Ten przykład, ta utajona wola rzeczy pociągała go do ciszy i skupienia starych świątyń.

Jak i dawniej, zaczął tam przebywać wieczorami; szczególnie zaś lubił stawać w nawach kościoła Zbawiciela, o długich szeregach czarnych marmurów, o wspaniałym chórze, z którego czasem płynie muzyka migotliwa i ulatuje, rozwijając żagle...

Była to muzyka rozlewna, spływająca na płyty, jak szereg strumieni; ona to zalewała, zacieślała zakurzone napisy kamieni nagrobnych i płyt mosiężnych, któremi usiana była świątynia. Można było powiedzieć, nie mijając się z prawdą, że tam się stąpa po śmierci!

Nic też nie mogło rozjaśnić śmiertelnego smutku, panującego tutaj: ani barwne witraże, ani cudowne stare obrazy Purtusa Van Orley'a, Erasma Guillyn'a, Crayer'a nawet pełne niewiędzących tulipanów obrazy Leyhers'a. Patrząc na tryptyki i obrazy, Hugo zaledwie spostrzegał te wizye dawnych malarzy, zaklęte w cudne barwy, myślał tylko z coraz to wzrastającą melancholią o śmierci, widząc postacie ofarodawców i ofiarodawczyń o złączonych dłoniach, z których nie pozostało

już nic, prócz portretów! Wówczas wywoływał znów pamięć Umarłej — nie chciał już myśleć o żywej, o tej niegodnej Jane, obraz której pozostawiał za drzwiami kościoła—i marzył, że to on z żoną klęczy tak wobec Boga, jak ci dawni, pobożni ofarodawcy.

Podczas tych napadów mistycyzmu, Hugo lubił się pograżać się w milczenie małej kapliczki Jerozolimskiej. Tam zwykle dążyły o zachodzie kobiety w czarnych płaszczach... Wchodził za nimi. Nizkie nawy—rodzaj krypty. W głębi kapliczki wzniesionej ku czci ran Zbawiciela, — postać Chrystusa w Grobie, blada, okryta całunem z cienkich koronek. Kobiety w płaszczach zapalały drobne świecezki i oddalały się posuwistym krokiem. Świece rzucały krwawe blaski. Zdawało się, że w ciemnościach otwierają się na nowo rany Chrystusowe i krwawią, by obmyć grzechy przychodzących ludzi.

Wędrując po mieście, Hugo najchętniej wstępował do uwielbianego przezeń Szpitala Św. Jana, w którym żył boski Memling i w którym pozostał swe słodkie i ciche arcydzieła, świadczące w ciągu szeregu stuleci o świeżości snów i ma-

rzeń wyzdrowiającego. Hugo chodził tam również w nadziei uzdrowienia chorej duszy, w nadziei ochłodzenia rozpalonych źrenic widokiem białych murów. Ogrody wewnętrzne, okolone bukszpanem, pokoje chorych—dalekie i w których się szeptem mówi. Parę zakonnic przechodzi, tylko zlekka naruszając milczenie, jak łabędzie, zaledwie muskające wodę kanałów. W powietrzu zapach wilgotnych płacht, czepców zmoczonych deszczem, kap ołtarzowych, świeżo wyjętych ze starożytnych szaf.

Nareszcie dochodzi się do świątyni sztuki, mieszczącej niezrównane obrazy, w której lśni słynny relikwiarz Św. Urszuli, mała złota kapliczka gotycka, ozdobiona z trzech stron historią jedenastu tysięcy dziewic; a na emalii dachówek w medalionach, wytwornych, jak miniatury, mieszczą się grający aniołowie, ze skrzypcami, złotemi jak ich włosy i z harfami w kształcie skrzydeł.

Męczeństwu towarzyszy malowana muzyka. Bo też słodką jest śmierć dziewic, wyglądających, jak kwiaty azalii na łodzi, przybijającej do brzegu, mającego być ich grobowcem. Żołnierze są na brzegu. Już rozpoczęli rzeź. Urszula z towarzysz-

kami wyszły na brzeg. Leje się krew—lecz jakże różowa! Rany — to płatki kwiatów... Krew nie cieknie — lecz kwitnie na piersiach.

Dziewice są szczęśliwe i zupełnie spokojne, a odważne ich postacie odbijają się w zbrojach rycerzy, lśniących, jak zwierciadła. A łuki, śmierć niosące, wydają się być łagodnymi, jak półksiężycy!

Przez te subtelne odcienia artysta wyraził, że dla tych dziewic, pełnych wiary, śmierć była tylko przemianę, próbą, którą się pogodnie znosi w imię przyszłej, i bliższej radości. Dla tego też spokój, panujący w ich duszach, spływa na kraj-obraz, przepajając go nastrojem pogodnym.

Chwila przełomowa: mniej tu czuć zabójstwo, niż apoteozę. Krople krwi zamieniają się w rubiny, mające zdobić wieczyste korony, a nad ziemią, krwią oblaną, otwiera się niebo, wkracza światło Boskie...

Anielskie odczucie męki! Rajska wizya malarza, którego geniusz równał się pobożności!

Hugo był głęboko wzruszony. Myślał o wieżach wielkich mistrzów flamandzkich, którzy pozostawili nam obrazy, będące naprawdę wotami — sztuka ich bowiem była modlitwą!

Ze wszystkiego, co go otaczało: z dzieł sztuki i klejnotów, z architektury domów, podobnych do klasztorów, ze szczytów ich, wyglądających jak mitry, z ulic, ozdobionych Madonnami, z wiatru, przynoszącego dźwięki dzwonów, płynął ku Hugonowi przykład pobożności i powagi — sugestia katolicyzmu, przenikająca powietrze i kamienie. Przypominały mu się czasy jego wczesnego dzieciństwa, tak pełnego wiary i chwytala go tęsknota za niewinnością.

Czuł się winien wobec Boga i wobec Umarłej.

Powstawało w nim poczucie grzechu.

Ze szczególną mocą ujawniło się ono pewnej niedzieli, gdy wszedł przypadkiem do katedry dla posłuchania nabożeństwa i organów, i trafił na koniec kazania.

Ksiądz mówił o śmierci. Jakież inny temat mógłby wybrać w tem ponurem mieście, w którym nasuwa się on sam, narzuca się niejako, owija się, jak gałąź dzikiego wina naokoło kazalnicy, by podać swe czarne grona do rąk kaznodziei, któremu pozostaje tylko je zrywać. O czem mówić, jak nie o tem, co jest obecne w całej atmosferze: o nieuniknionej śmierci. I w jakież

myśli można się zagłębiać, jak nie w pragnienie ratowania swej duszy, będące główną troską i nieustanną trwogą sumienia. Ksiądz mówił o dobrej śmierci, będącej tylko przejściem i o łączeniu się dusz zbawionych, mówił o niebezpieczeństwie grzechu, o grzechach śmiertelnych, czyniących ze śmierci — śmierć istotną, bez wyzwolenia i odzyskania dusz kochanych.

Stojąc przy jednym z filarów, Hugo słuchał go nie bez wzruszenia. Wielki kościół był pełen mroku, zaledwie tam i owdzie rozświetlony lampką, lub świeczką. Wierni zlewali się w ciemną masę, toczącą w cieniu. Zdawało mu się, że jest sam, że ksiądz zwraca się do niego, mówi dla niego. Dziwnym trafem losu, — a może to była tylko gra jego wzburzonej wyobraźni? — ksiądz omawiał wypadek, dający się zastosować do niego. Ach, tak! znajdował się w stanie grzechu! Mógł oszukiwać się, ile chciał, co do swej grzesznej miłości, i dla usprawiedliwienia się przed sobą samym wywoływać miraż podobieństwa. Popelniał czyn zawsze przez kościół surowo potępiany: uprawiał nalożnictwo.

Otóż, jeżeli religia mówi prawdę, jeżeli chrześcijanie zbawieni spotykają się po śmierci,

nie zobaczy nigdy swojej Nieodżałowanej, swojej Świętej, za to, że nie jej jednej pożałował. Śmierć tylko uwieczni jej nieobecność, uświęci rozstanie, o którym marzył, że jest chwilowe. Zawsze, jak i obecnie, będzie od niej daleko; próżna tęsknota za nią będzie jego wieczystą męką.

Hugo wyszedł z kościoła pełen niepokoju. I odtąd myśl o grzechu gryzła go, zapuszczała mu kły swoje w duszę. Napróżno pragnął się odeń wyzwolić, napróżno się usprawiedliwiał. Przyszła mu chęć wyspowiadania się; pragnął złagodzić osamotnienie, wahanie swojej duszy. Lecz trzeba było odbyć pokutę, zmienić życie; a pomimo wszystkich bólów i zgrzytów codziennych, nie miał siły opuścić Jane i rozpocząć na nowo życia samotnego.

A miasto ze swem obliczem pobożnem, czyniło mu wyrzuty, nalegało. Stawiało mu jako wzór swą własną czystość, swą surową Wiarę.

Dzwony także były w porozumieniu z miastem, a on błędził całe wieczory w męce i niepokoju, cierpiąc z powodu swej miłości do Jane, z tęsknoty za Umarłą, z powodu grzechu swego i możliwego potępienia...

Dzwony najpierw namawiały, przyjazne, życzliwe; lecz później—bezlitosne—ganily—tak zawsze obecne i widoczne naokoło niego, jak wrony naokoło wieżyc; potraçały go, dręczyły, gwałcąc go, by wygnać zeń tę nędzną miłość, by wyrwać z niego jego grzech!

XII.

Hugo cierpiał: różnica pogłębiała się z dnia na dzień. Nawet powierzchowność Jane nie mogła dostarczyć mu złudzeń. Wyraz twarzy stał się twardy, a jednocześnie zarysowały się zmarszczki pod oczami; znać w nich było pewne zmęczenie, jakby cień jakiś padał na wciąż jeszcze perłowe białka i czarne źrenice. Przytem wróciło jej zamiłowanie do szminki, i jak za czasów pobytu w teatrze, pudrowała policzki, barwiła usta, czerniła brwi.

Napróżno Hugo prosił, by zaprzestała tego malowania się, tak nie licującego z naturalnem i czystem obliczem, które nosił w swojej pamięci.

Jane kpiła z niego, ironiczna, twarda i gniewna. Przypominał sobie wtedy słodycz Umarłej, jej równe usposobienie, jej słowa tak szlachetnie tkliwe, spadające z ust jej, jak płatki kwietne. W ciągu dziesięciu lat wspólnego życia nie było pomiędzy nimi żadnej sprzeczki, nie padło żadne z tych słów czarnych, podnoszących się z dna dusz ludzkich, jak męty.

Różnica pomiędzy dwiema kobietami zazna-
czała się coraz wyraźniej. Ach nie! Umarła nie
była taką! Oczywiście ta zgnębiła go, odejmując
wszelkie pozory usprawiedliwienia tej przygodzie,
nędzę, którą czuł teraz dobrze. Ogarnął go
przymus i wstyd, nie śmiał już myśleć o tej, któ-
rą tak oplakiwał i wobec której zaczynał czuć się
winnym.—Rzadko wchodził teraz do salonów, peł-
nych pamiątek, zawstydzalo go bowiem, gnębiło
spojrzenie jej portretu—tak pełne wyrzutu. A jej
włosy leżały opuszczone i nieruchome w szklanej
szkatulce, pokrytej drobnym, szarym popiołem
kurzu.

Bardziej, niż kiedykolwiek, czuł, jak samotna
i bezwolna stała się jego dusza: wychodził, wra-
cał, wychodził znowu, jakby czemś gnany od swo-
jego domu do domu Jane; twarz jej ciągnęła go

ku sobie, gdy jej nie widział; gdy zaś znalazł się obok niej, wnet żałował tego, czuł wyrzuty sumienia, nawet pogardę dla siebie.

Gospodarstwo także było w nieładzie; żadnej punktualności, żadnej organizacyi. Wydawał rozkazy i zmieniał je; odwoływał obiady i kolacje. Stara Barbara nie wiedziała, jak ma uporządkować swoje gospodarstwo, jakie czynić zakupy. Znając przyczynę tego, modliła się za swego pana, smutna i pełna niepokoju...

Często bowiem przynoszono rachunki z żądaniem znacznych sum: były to sprawunki tej kobiety. Barbara, przyjmując je w nieobecności pana, zdumiewała się niezliczonej ilości sukien, błyskotek, kosztownych klejnotów, wszystkiemu, co Jane brała na kredyt, nadużywając nazwiska kochanka; czyniła to wszystko z rozrzutnością, drwiącą sobie z wydatków.

Hugo ulegał wszystkim jej kaprysom. Nie czuła jednakże dla niego żadnej wdzięczności. Wychodziła coraz częściej, a nieobecność jej trwała nieraz dzień cały—aż do wieczora; odkładała schadzki umówione, zawiadamiając go o tem pośpiesznie pisanemi bilecikami. Mówiła, że zawiązała parę stosunków. Miała przyjaciółki. Nie

mogła przecież żyć tak ciągle samotna! któregoś dnia powiedziała, że zachorowała siostra jej, mieszkająca w Lille i że musi ją odwiedzić. O siostrze tej nie mówiła mu nigdy przedtem. Wyjechała na kilka dni. Po powrocie zachowywała się, jak i przedtem: rozproszone życie, pełne ruchu, nieobecności, przyływów i odpływów, na których zawieszono było całe istnienie Hugona. Wreszcie powziął pewne podejrzenia i zaczął ją śledzić. Wieczorami krążył naokoło jej domu, błędząc, jak duch, po uśpionem już mieście. Poznał mękę tajemnego czatowania, niepokój raptownych zatrzymań, dźwięk nagle szarpniętego dzwonka, odgłos którego powoli zamiera w milczących korytarzach, długie wystawanie na wietrze przed oświetlonem oknem w oczekiwaniu, że na tle jego, jak cień chiński, zarysuje się sylwetka—podwójna. Nie chodziło mu już o Umarłą; sama Jane czarowała go urokiem swym i drżał z obawy utracenia jej. I nie o twarz jej mu teraz chodziło, lecz o ciało, paląca wizya którego powstawała przed nim, podczas gdy na tle firanek przesuwiał się nikły jego cień... Kochał ją, bo był o nią zazdrosny, aż do bólu, aż do łez; szpiegował ją wieczorami, chłostany dźwiękami sygna-

turki, bijącej północ i drobnym deszczem, padającym bez przerwy w tej północnej krainie, gdzie chmury nieustannie rozpryskują się w drobne kropelki.

Czekał wciąż, chodząc tam i napowrót na krótkiej przestrzeni, mówiąc głośno niezrozumiałe wyrazy, jak lunatyk, nie zważając ani na zwiększającą się deszcz, ani na śnieg rozmokły, ani na błoto, ani na chmurne niebo, na cały ten rozpaczliwy smutek rzeczy...

Chciał wiedzieć, wyjaśnić sobie wszystko, pragnął widzieć... Ach, co za męka! I jakąż duszę musiała mieć ta kobieta, by go tak dręczyć. A tamta—Umarła—taka dobra, w tych chwilach ostatecznej rozpaczyny jego zdawała się wstawać w nocy i patrzeć na niego oczami, pełnymi litości.

Hugo nie pozwolił się oszukiwać. Spostrzegł kłamstwa Jane, zestawil poszlaki, niedługo zaś uświadomiły go zupełnie napływające, zwyczajem miast prowincjonalnych, listy i karty anonimowe, pełne obelg, ironii, szczegółów zdrady i nierządu, które już i sam zauważył... Cytowano imiona, gromadzono dowody. Oto jak się kończył ten stosunek z kobietą przypadkowo spotkaną, do

której go pociągnęła z początku przyczyna tak niewinna. Z nią rzecz da się załatwić prosto: zerwie—oto wszystko! Lecz co pocnie z upadkiem swoim, z żalobą ośmieszoną, świętym kultem, głęboką rozpaczą, które teraz stały się pośmiewiskiem ogólnem?

Hugo cierpiał. Jane była dla niego stracona: była to jakby powtórna śmierć Umarlej. Co już przecierpiał przez tę kobietę kłamiwą i kapryśną!

Poszedł do niej któregoś wieczoru po raz ostatni, by, zrywając, wyzwolić się od ciężaru bólu, nagromadzonego w duszy z jej winy. Bez gniewu, z nieskończonym smutkiem, opowiedział jej, że wie o wszystkim; a gdy próbowała potraktować go z góry, gniewna, z miną bezczelną wołając: „Co takiego? o co chodzi?!” — pokazał jej listy anonimowe, denuncyacje...

— Jesteś tak głupi, że wierzysz w listy anonimowe?!

Zaśmiała się śmiechem okrutnym, odsłaniając białe, drapieżne zęby.

— Własne zachowanie się pani mnie już dostatecznie poinformowało—zauważył Hugo.

Jane w porywie złości zaczęła się rzucać i trzaskać drzwiami.

— A jeżeli to i prawda, to co?! — zawołała, a po chwili:

— Zresztą, mam już dość tego tu pobytu, wyjadę!

Hugo patrzył na nią, gdy mówiła: w świetle lampy widział jej jasną twarz, jej ciemne źrenice, jej złote włosy o barwie fałszywej, jak fałszywe było jej serce i miłość. Ach nie, to nie była już postać Umarłej! Lecz w szlafroku tym, drżąca i z falującą piersią, była to jednak kobieta, którą posiadał; a gdy usłyszał, jak zawołała: „Wyjadę!”—cała jego dusza drgnęła i opadł na nią ponury cień...

W tej chwili poczuł, iż po za iluzją podobieństwa kochał ją także zmysłami; namiętność spóźniona, smutna, jak chorobliwy rozkwit róż paździenikowych!

Zamąciły mu się wszystkie myśli; wiedział tylko jedno: cierpiał, czuł ból—a przestanie cierpieć, jeśli Jane zostanie. Pragnął tą taką nawet, jaką była. Wstydział się swojej nikczemności, lecz nie mógł już żyć bez niej. Zresztą kto wie? Świat jest taki zły! A ona nie chciała nawet się usprawiedliwiać.

Chwyciła go rozpacz okrutna wobec końca

tego marzenia, agonię którego czuł dobrze (zerwania miłosne mają w sobie coś ze śmierci, będąc odejściem bez pożegnania).

Gnębiło go najbardziej nietylko rozstanie z Jane i utrata resztek mirażu; przerażała go myśl, że znów będzie sam wobec oblicza miasta, bez nikogo, ktoby stanął pomiędzy nimi. Wybrał sam to miasto z jego szarą melancholią. Lecz ciężar cieni, padających od wieżyc, przechodził jego siły. A Jane usuwała ten cień z jego duszy. Teraz spadnie na niego całym ciężarem. Zostanie samotny, oddany na pastwę dzwonów Jeszcze bardziej samotny, niż przedtem, jakby po raz wtóry owdowiały! I miasto wyda mu się jeszcze bardziej umarłe!

Zrozpaczony, rzucił się do Jane i chwycił jej ręce, błagając głosem miękkim, jakby zmochnym wewnętrznymi łzami: „Zostań! zostań! byłem szalony!”

Wieczorem, wracając wzdłuż wybrzeży, czuł się niespokojnym, jakby groziło mu jakieś niebezpieczeństwo. Opanowały go myśli grobowe. Umarła prześladowała go. Wróciła i unosiła się zdaleka we mgle, owinięta całunem. Czuł, bardziej niż kiedykolwiek, swoją wobec niej winę.

Nagle zerwał się wiatr. Topole zaszemrały jakąś żalosaną skargę. Zaniepokoiły się stuletnie, odwieczne łabędzie. Legenda mówi, że zeszyły one z herbu jakiegoś magnata, niesłusznie na śmierć skazanego i że teraz miasto obowiązane jest utrzymywać i karmić je po wsze czasy, jako pokutę.

Łabędzie te, zwykle tak spokojne, białe, zaniepokoiły się nagle, krążąc gorączkowo po powierzchni kanału, naokoło jednego z nich, bijącego skrzydłami i wznoszącego się na nich nad wodę, jak niespokojny chory, pragnący zerwać się z łóżka.

Ptaka cierpiał: krzyczał co chwila; nagle krzyk wzniósł się i opadł zwolna, złagodzony oddaleniem; był to głos cierpiący, prawie ludzki, modulujący się naprawdę, jak śpiew...

Hugo patrzył i słuchał, zmieszany tajemniczym zjawiskiem. Przypominało mu się ludowe podanie. Więc istotnie łabędź śpiewał! Więc miał umrzeć—a może czuł tylko śmierć naokoło siebie? Hugo drgnął. A może to dla niego ta ponura przepowiednia? Bolesna scena z Jane, jej odgrążanie się, przygotowały go do tych przeżyć. Jaki jeszcze koniec go czeka? Jaką żalobę zapowiada ta noc pełna niepokoju? Po czem ma owdowieć raz jeszcze?

XIII.

Jane potrafiła wykorzystać popłoch, który wzbudziła. Przez zaostrowany zmysł awanturńczy zrozumiała, jaką władzę ma nad tym człowiekiem, jak dalece żyje nią cały, jak łatwo jej będzie nim kierować.

Paru słowami uspokoiła go zupełnie, uniewinniła się przed nim, zdobyła go nanowo. Zaczęła więc kombinować: jest chory, zgnębiony ciężkimi smutkami, od tych kilku miesięcy zmienił się już tak bardzo; nie będzie żył długo. Uchodzi za bogatego; jest obcym i samotnym w tem mieście — nie zna tu nikogo. Będzie jej więc łatwo zapewnić sobie po nim spadek. Jakim

szaleństwem byłoby zaniedbać to. Jane uporządkowała nieco swe życie, wychodziła rzadziej, pozorując zawsze swoje wyjścia, stała się ostrożniejszą.

Zapra gnęła kiedyś pójść do domu Hugona; był to stary, duży, bogaty dom na wybrzeżu Różańcowem, z wiecznie zapuszczonemi firankami, przesłaniającemi okna wzorzystym szronem, uniemożliwiającym zajrzenie do wnętrza.

Jane pragnęła zajrzeć tam, by ocenić jego bogactwa, zbadać meble, srebra, klejnoty, wszystko, czego pożądała—i spisać inwentarz myślowy tych rzeczy. Lecz Hugo nigdy się na to nie zgadzał. Jane stała się pieśczośliwą. Było to wznowienie ich miłości, barwne i ciepłe.

Nadarzyła się właśnie sposobność: był maj, w następny poniedziałek miała być Procesya Krwi Świętej, odwieczne, coroczne wyniesienie relikwiarza, w którym przechowywano kroplę Krwi Świętej, upadłą z Rany Chrystusa, lancą zadanej.

Procesya będzie przechodziła po Wybrzeżu Różańcowem, tuż pod oknami Hugona. Jane nigdy nie widziała słynnego pochodu i zaciekawiała ją bardzo. Nie będzie przechodził koło jej domu;

a z ulicy, przepelnionej tłumem, zbierającym się podobno z całej Flandryi, nie będzie mogła nic zobaczyć.

— Powiedz, że tak! Przyjdę do ciebie...
zjemy razem obiad...

Hugo mówił o sąsiadach, o służbie, która będzie plotkowała.

— Przyjdę wcześniej, kiedy wszyscy śpią!

Zaniepokoiła go myśl o Barbarze, tak nabożnej i cnotliwej, która ją będzie uważała chyba za wysłanniczkę piekła. Lecz Jane nalegała:

— Więc zgoda? Powiedz!

Głos jej stał się tak pieściwy! Był to głos kuszący, który w pewnych chwilach posiadają wszystkie kobiety; kryształowy dźwięk jego śpiewa, rozplywa się, tworzy wir naokoło mężczyzny, który dostaje zawrotu głowy, waha się i — ulega.

XIV.

W ów poniedziałek Barbara wstała wczesniej, miała bowiem w swem rozporządzeniu tylko część poranku, a musiała przystroić dom na przyjęcie procesyi. Poszła na ranną mszę o wpół do szóstej, przystąpiła do komunii, a po powrocie do domu rozpoczęła przygotowania. Wyjęła z kredensu srebrne świeczniki i małe pozłacane wazonny, mające służyć za kadzielnice. Czyściła i tarła każdy przedmiot, aż nabrał blasku lustrzanego. Wyciągnęła również cienkie obrusy, by pokryć niemi małe stoliczki, postawione przy każdym oknie i ustrojone, jak małe ołtarzyki, ze świecami naokoło krucyfiksu lub posążku Najświętszej Pan-

ny. Trzeba było pomyśleć i o zewnętrznem upięk-szeniu, gdyż wszyscy w dzień ten ubiegają się o najpiękniejsze ustroje domów. Według zwy-czaju, umocowano już tam jodelki o zielono-brą-zowych gałęziach, sprzedawane wszędzie przez wieśniaków i tworzące wzdłuż ulic szpaler po-dwójny.

Barbara ustroiła balkon w białe draperye, spływające w nieskałanych fałdach. Chodziła po całym domu, zwinna, zakłopotana, pełna namasz-czenia, ze czcią dotykając przedmiotów, corocz-nie używanych do uroczystości i biorących, wed-lug niej, udział w obrzędach religijnych, uświęco-nych przez ręce księży, święte oleje i wodę święconą. Zdawało się jej, że jest w zakrystyi.

Miała już tylko napełnić koszyki kwiatami i ziołami, barwną mozaiką, którą każda służąca zdobi ulicę przed domem swoim w chwili pocho-du. Śpieszyła, odurzona nieco zapachem malw, wielkich lilii, stokrotek, szalwin, pachnącego roz-marynu i trzciny, którą łamała na drobne kawał-ki. A ręka wciąż sięgała do koszyka, pełna kie-lichów, świeżych i delikatnych jak puch skrzydeł motyli. Przez otwarte okna dolatywał coraz

głośniejszy koncert dzwonów parafialnych, które się po kolei rozkołysały.

Na świecie było szaro; był to jednakże jeden z tych dni majowych, kiedy, pomimo zachmurzonego nieba, unosi się w powietrzu jakieś radosne przeczucie.

Dzięki temu i dzwonom rozkołysanym, radość szerzyła się po świecie i sphywała na nią. Stare wyczerpane już dzwony, jak staruszkowie o kuli chodzący, dzwony klasztorów i starych dzwonnicy, zadomowione i słabowite, milczące przez rok cały, w dzień procesyi przyłączały się do pochodu; i wszystkie zdawały się być przybrane w białe radosne szaty, rurkowane, jak wachlarze, pokrywające ich stare, zniszczone suknie brązowe. Barbara słuchała dzwonienia. Odróżniała wielki dzwon katedry, dający się słyszeć tylko w wielkie święta, o dźwiękach głębokich i rzadkich, jak uderzenia pastorału... a również małe dzwoneczki pobliskich dzwonnicek o radosnym ruchu srebrnych sukienek, ustawiające się do niebiańskiego pochodu...

Pobożność Barbary wzbierała wielką falą; zdawało jej się, że żarliwość unosi się w powie-



trzu, że z dźwiękiem dzwonów rozkołysanych spływa z nieba religijne uniesienie, że w powietrzu czuć ruch niewidzialnych skrzydeł przelatujących aniołów.

A wszystko to skupiało się w jej duszy, w której czuła obecność Chrystusa, w której Hostya, przyjęta dziś rano, świeciła w pełnym blasku, ukazując twarz Boską. Myśląc o dobroci Zbawiciela, który się dziś rano naprawdę z nią połączył, przeżegnała się i zaczęła się modlić na nowo, czując w ustach jakby smak Świętej Komunii. Tymczasem pan zadzwonił na nią: była to godzina śniadania. Skorzystał ze sposobności, by jej oznajmić, że czeka gościa na obiad.

Barbara była zdumiona; nigdy nikogo u siebie nie przyjmował! Wydało się jej bardzo dziwnem; nagle, straszna myśl mózg jej przeszła: a jeżeli właśnie teraz ma się stać to, czego się tak bardzo obawiała przedtem i o czym zaczęła już zapominać potrochu? Domyśla się... zapewne ma przyjść ta właśnie kobieta, o której wspominała jej siostra Rozalia.

Krew jej zawrzała w żyłach... W takim wypadku wie, jak ma postąpić: nie może przecież otwierać drzwi tej istocie, służyć jej przy stole, być

na jej rozkazy, stawać się współniczką grzechu — spowiednik wyraźnie jej to zabronił. I to w taki dzień! Kiedy krew Chrystusa miała przejść obok domu! A ona była dziś przecie u Świętej Komunii. Ach nie! to jest niemożliwe. Musi opuścić służbę natychmiast.

Chciała wiedzieć napewno i z tym despotyzmem, który się nieraz spotyka na prowincyi u służących, w gospodarstwach starych kawalerów, lub wdowców, spytała:

— A kogo pan zaprosił na obiad?

Hugo odrzekł, że pytanie to jest niewłaściwe i że dowie się, kiedy ta osoba przyjdzie.

Lecz Barbara, opanowana przez ideę, która jej się wydawała coraz bardziej prawdopodobną, przerażona ogromnie, zdecydowała się na wszystko. Zaczęła więc znowu:

— Może pan czeka na jakąś panią?

— Barbaro! — zawołał Hugo, patrząc na nią ze zdumieniem i surowością.

Lecz ona ani drgnęła.

— Widzi pan, muszę to wiedzieć! Bo jeżeli pan czeka na panią, to muszę pana uprzedzić, że nie będę mogła podać mu obiadu.

Hugo był przerażony: czy ona zwaryowała?

Lecz Barbara powtórzyła energicznie, że musi odejść; nie może inaczej; uprzedzono ją; spowiednik jej tak rozkazał. Nie może go nie słuchać i pograżać się w grzech śmiertelny, żeby potem umrzeć nagłą śmiercią i pójść do piekła na wieki.

Hugo najpierw nic nie rozumiał, powoli rozwinął jednak wątek zagmatwany i zrozumiał, że musiała powstać gadanina, że jego przygoda stała się głośna. Więc i Barbara wiedziała? I groziła, że odejdzie, jeżeli Jane przyjdzie do niego. Musiano więc bardzo gardzić tą kobietą, jeżeli biedna służąca, związana z nim przyzwyczajeniami, interesem, tysiącem łnic, które każdy dzień tka pomiędzy dwoma istotami, żyjącymi obok siebie, wolała zerwać to wszystko i odejść raczej, niżli służyć jej przez dzień jeden.

Wszystko to odurzyło Hugona, pozbawiło sił; ta nagła przykrość, niszcząca tak niespodziewanie radosną perspektywę dnia, załamała w nim jakąś wewnętrzną sprężynę. Rzekł prosto:

— Dobrze, Barbaro! możesz odejść natychmiast.

Stara służąca spojrzała na niego i nagle dobra jej dusza, pełna litości, zrozumiała, że cierpi;

wyszeptała więc, kładąc w słowa swoje ten dźwięk szczególny, który przyroda stworzyła dla ukojenia i pociechy:

-- O mój Boże! mój biedny pan! I to wszystko przez taką kobietę, przez marną kobietę, która pana oszukuje...

Oto przez chwilę, zapominając o różnicy stanowiska, stała się pełną dobroci macierzyńskiej, wyszlachetniona boską litością, tryskającą, jak źródło kojące... Lecz Hugo kazał jej milczeć, podrażniony, upokorzony wtrącaniem się w jego sprawy, zuchwalstwem, z którym mówiła o Jane!

To on wymawia jej służbę i to niezwłocznie. Jutro będzie mogła przyjść po swoje rzeczy. Lecz dzisiaj niech odchodzi natychmiast! natychmiast!

Gniew Hugona odjął Barbarze ostatnie skrupuły. Ubrała się w swój piękny płaszcz z kapturem i poszła, dumna z siebie i ofiary, którą uczyniła w Imię Chrystusa...

Spokojna i niewzruszona wyszła z tego domu, w którym przeżyła pięć lat; lecz przed odejściem wysypała przed domem całą zawartość koszyków, żeby ulica podczas przejścia Procesy nie była pozbawiona kwiatów w tem jednym, jedynem miejscu.

XV.

Jakżeż źle rozpoczął się dzień! Możnaby powiedzieć, że radosne zamiary rzucają losowi wyzwanie. Gdy o nich zawczasu zbyt długo myślimy, dajemy Przeznaczeniu możliwość zmienienia na smutki radosnych nadziei naszych. Boleśnie odezwało się w duszy Hugona trzaśnięcie drzwi, zamykających się za Barbarą. Jeszcze jedna przykrość! będzie teraz jeszcze bardziej samotny, bo stara służąca zajęła nieznacznie duże miejsce w jego życiu. A wszystko z powodu Jane, okrutnej i niestałej. Co on wycierpiał przez nią! Wołałby teraz, żeby nie przychodziła. Był smutny, niespokojny, zdenerwowany. Myślał o Umarłej...

Jak mógł się dać omamić podobieństwu, które się tak szybko rozproszyło? a co pomyśli ona, będąca po tamtej stronie grobu, o tem, że inna wejdzie do ogniska domowego, pełnego jej wspomnień, usiądzie na fotelach, na których siedziała, podejdzie do lustra, które na ukrytem w głębi obliczu Umarłej, odbije twarz inną?

Zadzwoniono. Poszedł otworzyć sam. Była to Jane, spóźniona, czerwona od szybkiego ruchu. Weszła władna, gwałtowna, i jedynym rzutem oka objęła duży korytarz i salony o drzwiach otwartych.

Z daleka dochodziły już dźwięki muzyki. Procesya się zbliżała.

Hugo sam zapalił światło woskowe, stojące na oknach i na małych stoliczkach, urządzonych przez Barbarę.

Wszedł z Jane na pierwsze piętro do swego pokoju. Okna były pozamykane. Jane zbliżyła się i otworzyła jedno z nich.

— Ach! nie trzeba! — zawołał Hugo.

— Dlaczego?

Powiedział, że nie powinna się afiszować, będąc u niego. A zwłaszcza przy przejściu procesyi. Prowincya jest pełna pruderyi. Wywołałoby to wielkie zgorzenie.

Jane zdjęła kapelusz przed lustrem; upudrowała zlekka twarz puszką, wyjętą z malutkiego pudełka z kości słoniowej, z którem nie rozstawała się nigdy.

Potem podeszła znów do okna, wystawiając na spojrzenia tłumy swe jasne włosy o blaskach miedzianych.

Tłum, zapelniający ulicę, ciekawie przyglądał się kobiecie, odmiennej od innych, jaskrawo ubranej i o lśniących włosach. Hugo zniecierpliwil się. Można wszystko dobrze widzieć i z za firanek. Gwałtownym, energicznym ruchem zamknął okno.

Jane obraziła się, nie chciała już patrzeć i położyła się na sofie, twarda, zamknięta w sobie.

Procesya szła, śpiewając. Po coraz głośniejszych dźwiękach hymnów znać było, że się zbliżała. Hugo, cały zbolały, odwrócił się od Jane; palące czoło chłodził o szyby, świeże i zimne, jak woda, łagodząca wszelkie bóle.

Ukazały się dzieci, należące do chóru, o krótko strzyżonych głowach; szły, śpiewając, ze świecami w rękę.

Przez szyby Hugo wyraźnie widział cały pochód, który wyglądał, jak szereg postaci malowa-

nych na tle świętych obrazów, przystrojonych koronkami.

Przeszli członkowie kongregacji, niosąc wizerunki Najświętszego Serca, trzymając złote chorągwie, twarde, jak witraże; za nimi ciągnęły roje dziewcząt w białych sukniach i przezroczystych muślinach, wśród których dym kadzideł unosił się, jak małe niebieskie obłoczki; a pośród tych dzieci-dziewic niesiono Baranka wielkanocnego, białego jak one.

Hugo na chwilę zwrócił się ku Jane, wciąż zagniewanej, siedzącej w rogu kanapy z twarzą zachmurzoną i pełną złych myśli.

Dźwięki dziwnych, wężowatych instrumentów muzycznych spoważniały, porywając za sobą wąty, przerywany śpiew głosów dziecięcych.

W obramowaniu okna ukazywali się kolejno rycerze krzyżowi, rycerze Ziemi Świętej, ubrani w zbroje i złotą lamę, ówczesne księżniczki z Bruges, jednym słowem wszyscy ci, imiona których łączą się z imieniem Thierry z Alzacyi, który przywiózł Krew Świętą z Jerozolimy. Byli to synowie i córki najwyższej arystokracji flandryjskiej, ubrani w stare materye, cudowne koronki i starożytne klejnoty rodzinne. Moznaby

powiedzieć, że z obrazów van Eyck'a i Memm-
linga zesłi, cudem ożywieni Święci, rycerze
i donatorzy, żyjący w muzeach życiem wiecznym.

Hugo zaledwie spostrzegał to wszystko; był
cały wzburzony gniewem Jane, czuł nieskończony
smutek przy dźwiękach hymnów, raniących mu
duszę. Spróbował uspokoić ją. Zacięła się przy
pierwszem jego słowie; patrzyła na niego cała
najeżona, jakby zamierzając zranić go jeszcze
bardziej.

Zamknął się w sobie, milczący, zrozpaczony,
rzucając duszę na pastwę muzyki, panującej na
ulicach, z gorącym pragnieniem, by go uniosła
daleko od niego samego.

Teraz przechodziło duchowieństwo i zakon-
nicy wszystkich klasztorów: dominikanie, redemp-
toryści, franciszkanie, karmelici; dalej seminarzy-
ści w plisowanych habitach z antyfonami w rękę,
za nimi księża wszystkich parafii, otoczeni czer-
wono ubranami dziećmi z chórów; wszyscy w or-
natach i dalmatykach haftowanych, lśniących od
drogich kamieni.

Słychać było brzęk poruszanych kadzielnic,
kłęby dymu wznosiły się coraz bliżej. Wszystkie
dzwonniczki sypnęły nagle drobnymi dźwiękami

dzwonów, napełniając powietrze śpiewem metalicznym.

Ukazał się biskup pod baldachimem, z mitrą na głowie, niosący relikwiarz — miniaturową złotą katedrę, przykrytą kopułą, na której, pomiędzy tysiącem kamei, brylantów, szmaragdów, ametystów, topazów i perel, samotnie marzył rubin Świętej Krwi.

Przejęty mistycznym wrażeniem, poruszony do głębi żarliwością, bijącą od wszystkich twarzy i wiarą olbrzymich tłumów, zebranych na ulicach rozmodlonego miasta, Hugo skłonił się również, gdy zobaczył, że cały tłum upada na kolana przy zbliżaniu się Świętego Relikwiarza i chylił się, jak łan, pod wezbraną falą śpiewaków.

Zapomniał o rzeczywistości, o obecności Jane, o nowem zajściu, wznoszącym pomiędzy nimi ścianę lodowatą.

A Jane kpila z jego wzruszenia.

Udawał, że nie widzi tego, tłumiąc porywy nienawiści, którą zaczynał czuć do tej kobiety.

Wyniosła, lodowata, włożyła znowu kapelusz, jakby zamierzając odejść. Hugo nie przerywa twardego milczenia, panującego w pokoju po przejściu procesyi. Ulica szybko się wyludniła

i zamilkła, pełna smutku, spotęgowanego po mionej radości. Jane zeszła w milczeniu; ale na dole, widocznie, zmieniła zdanie, a może opanowała ją ciekawość, dość, że stanęła na progu i oglądała salony, drzwi których były otwarte. Zrobiła parę kroków i weszła do tych obszernych pokojów, łączących się ze sobą; wionęła na nią od nich jakaś wrogość; czuła się nieswojo wobec surowej ich powagi.

Pokoje również miały swoją indywidualność. Pomiędzy nimi i nami powstają natychmiastowe sympatye i antypatye. Jane czuła się tu źle przyjęta, obca, wroga tym lustrom, tym starym meblom, którym obecność jej groziła naruszeniem ich odwiecznej, nieruchomej powagi.

Rozglądała się niedyskretnie... Zauważyła portrety, rozsiane tam i awdzie: na ścianach, na półkach, był to pastel i fotografie Umarłej.

— Ach, widzę tu portrety kobiece! — zaśmiała się złym śmiechem.

Podeszła do kominka.

— Ależ ta jest do mnie podobna!..

Wzięła do ręki jedną z fotografii.

Hugo, który z przykrością śledził jej ruchy, poczuł nagle wielki ból, z powodu jej nieświadomo-

mie okrutnego żartu, okropnej swawoli, dotykającej świętości Umarfej.

— Nie dotykaj tego! — zawołał głosem rozkazującym.

Jane wybuchnęła śmiechem, nie rozumiejąc o co chodzi.

Hugo odebrał jej portret, urażony, że te palce dotykały jego pamiątek.

On sam brał je do rąk ze drżeniem, jak ksiądz, dotykający kielicha i monstrancyi. Ból jego stał mu się religią. W tej chwili świece, niezgaszone jeszcze po przejściu procesyi, oświetlały salon i nadawały mu wygląd kaplicy.

A Jane, bawiąc się przewrotnie rozdrażnieniem Hugona i z tajemnym pragnieniem dokuczenia mu jeszcze bardziej, przeszła do drugiego pokoju, dotykając wszystkiego, przetrząsając drobiazgi, gniotąc materye. Nagle zatrzymała się z wybuchem głośnego śmiechu. Zauważyła drogocenne pudełko kryształowe, ięzące na fortepianie; zapamiętała w zuchwalstwie, podniosła wieko i zdumiona i rozbawiona wyjęła zeń długi warokcz, rozwinęła go, potrząsnęła nim w powietrzu.

Hugo zbladł śmiertelnie. To była profanacja. Popełniono świętokradztwo...

Od szeregu lat nie dotykał tych włosów, będących częścią Umarlej. A teraz cały kult jego dla tej relikwi, zroszonej niezliczonymi łzami, spadającymi na kryształ, stał się zabawką dla kobiety, szydzącej z niego w sposób nikczemny... Cierpiał przez nią zbyt długo, zbyt mocno! Wezbrała w nim cała fala bólu, gromadzącego się w ciągu miesięcy przez każdą godzinę, każdą chwilę; przypomniały się nagle wszystkie podejrzenia, zdrady, wystawiania pod oknem w deszcz— miał dość tego!... Wypędzi ją!

Rzucił się do niej... Lecz Jane, jakby bawiąc się, schowała się za stół, wyzywająca, i z daleka pokazywała mu warkocz, przytulając go do twarzy, wkładając na szyję, jak boa, ze złotego ptaka zrobione...

Hugo krzyczał:

— Oddaj mi! oddaj!

Jane uciekała, kręciła się po pokoju, biegła naokoło stołu.

Wśród tej bieżaniny, tego śmiechu, tych drwin, Hugo stracił głowę.

Dopędził ją. Miała jeszcze włosy owinięte naokoło szyi, lecz walczyła, nie chcąc ich oddać,

gniewna i wymyślająca, bo jego palce skurczone sprawiały jej ból.

— Oddasz?

— Nie! — śmiała się jeszcze śmiechem nerwowym!

Hugo szalał; w uszach mu dzwoniło, krew paląca zalała oczy; czuł zawrót głowy, nagła wściekłość ogarnęła go, końce palców skurczyły się, pragnąc chwytać, dusić, łamać jakieś kwiaty; poczuł, że palce jego, jak kleszcze, chwyciły włosy, wciąż jeszcze owinięte naokoło szyi Jane.

Chciał je odebrać i, dziki, nieprzytomny, ciągnął do siebie ten warkocz, wyprężony teraz i twardy jak lina.

Jane nie śmiała się więcej; krzyknęła słabo, westchnęła, jak bańka wodna, ginąca na powierzchni i upadła—uduszona.

.....

Umarła—bo nie była zdolną odczuć tajemnicy, bo nie rozumiała, że istnieją rzeczy, których dotykać nie można pod grozą popełnienia świętokradztwa. Podniosła rękę na włosy mściwe, na widok których dusze czyste i wtajemniczone od-

razu rozumiały, że z chwilą, gdy zostaną sprofanowane, staną się same narzędziem śmierci.

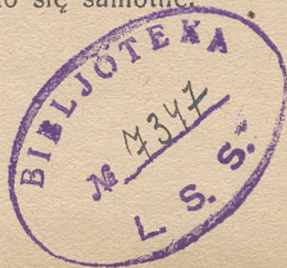
Cały dom był zrujnowany. Barbara poszła, Jane leżała bez życia, Umarła była jeszcze bardziej martwą...

A Hugo patrzył przed siebie, nic nie rozumiejąc, nic nie czując więcej...

Obie kobiety złączyły się w jedną postać. Podobne za życia, stały się jeszcze bardziej podobne po śmierci, okrywającej je jednakowo bledością; nie rozróżniał już ich więcej — widział tylko jedną twarz umiłowaną. Trup Jane stał się dla niego widmem Umarłej. Dusza jego cofnęła się wstecz; pamiętał już tylko rzeczy dawno minione, początki podróży swojej... cały się przeniósł w dawny świat...

Bardzo spokojny poszedł i usiadł na fotelu.

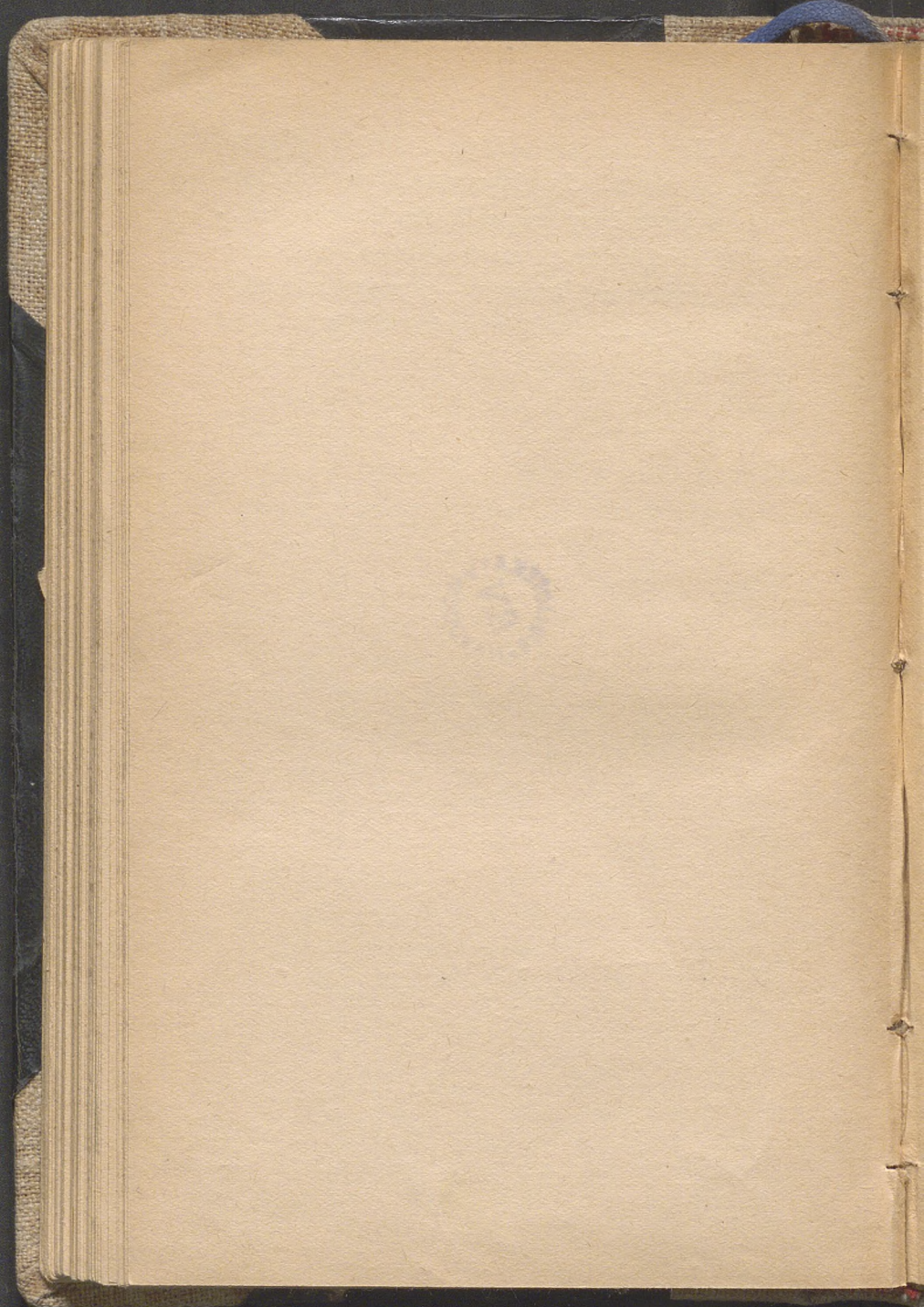
Okna były otwarte. I wśród ciszy doleciał go dźwięk wszystkich dzwonów znowu rozkołysanych z powodu powrotu procesyi do kaplicy Krwi Świętej. Skończył się piękny pochód... skończyło się wszystko, co było: umilkły śpiewy, znikły pozory życia, przerwało się to całe zmartwychwstanie, trwające krótką chwilę. Ulice znów były puste. Miasto znów stało się samotne.



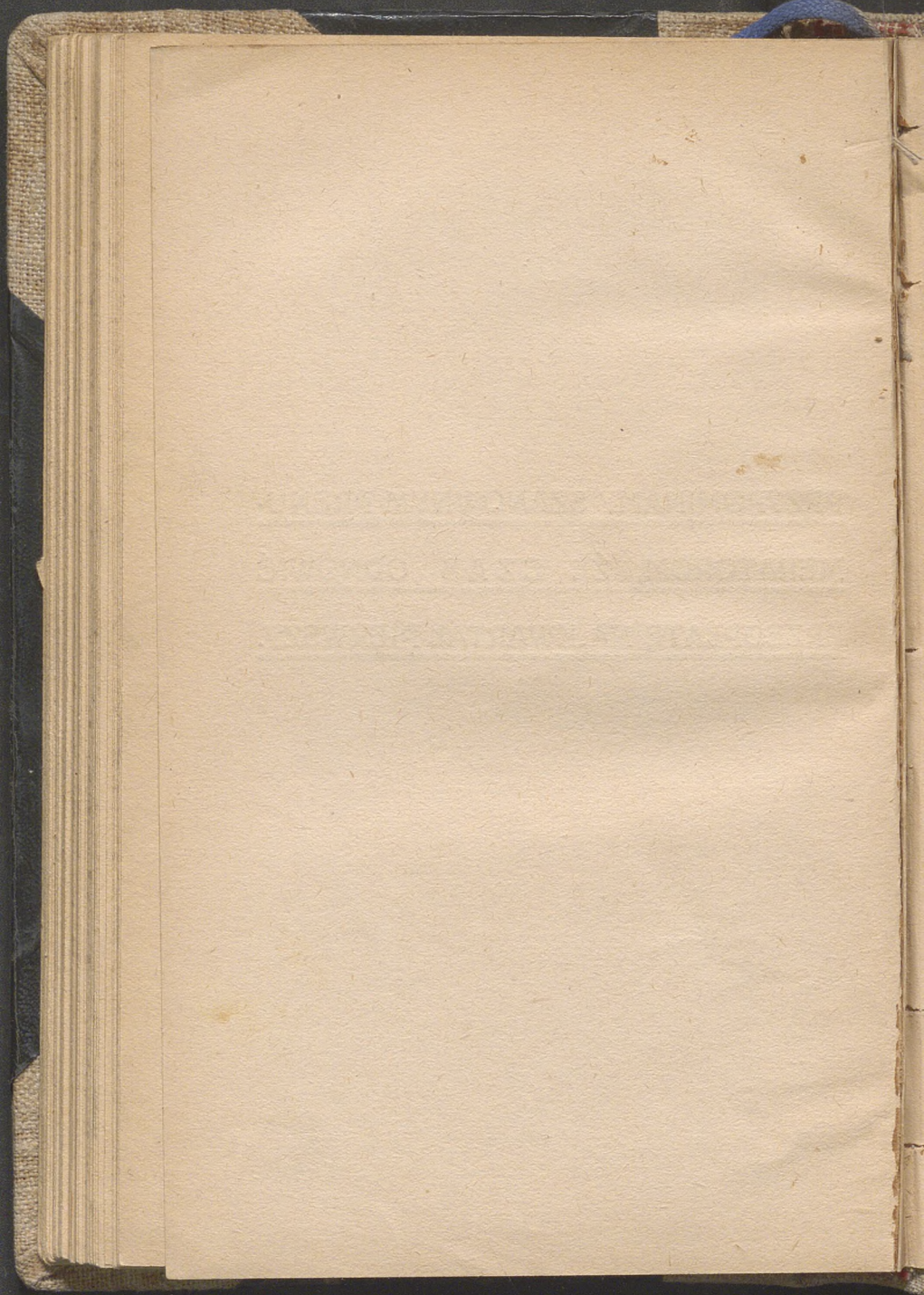
A Hugo wciąż powtarzał słabym głosem: „Umarła, umarła... Umarło miasto...” próbując do-
stroić te słowa do rytmu ostatnich dzwonów, zmę-
czonych i leniwych, jak małe wyczerpane starusz-
ki, rozsypujące nad miastem — a może nad jakąś
mogilą? płatki jakichś żelaznych kwiatów.

K O N I E C .





PRZYPOMINAMY SZANOWNYM PRENU-
MERATOROM, ŻE CZAS ODNOWIĆ
PRZEDPŁATĘ NA KWARTAŁ PIERWSZY.



WYCIĄG Z KATALOGU

BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH

Do nabycia w Administracji „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH“ (Warszawa, Sienna № 2) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

	CENA	
	w opr. brosz.	kop. kop.
645. Eliza Orzeszkowa. ASCETKA. Powieść	55	40
646, 647, 648. E. T. A. Hoffmann. DYABLEELI-KSYRY Przełożył Ludwik Eminowicz	1.65	1.20
649. Aleksander Bolesław Brzostowski. CI, KTÓRYCH ZNAŁEM. Garść luźnych wspomnień, opisów i wrażeń	55	40
650. Józef Miłkowski. Ze wspomnień legionisty. WYPRAWA DAHOMEJSKA	55	40
651, 652, 653, 655, 656. ŻYWOT BENVENUTA CELLINIEGO. Własnoręcznie spisany we Florencyi. Z oryginału przełożył i przepisami opatrzył Stanisław Machniewicz	2.75	2.00
654. Domańska. BLASKI. Powieść	55	40
657. Ory Jelska. PANTA REJ. Powieść	55	40
658. Dr. K. Rakowski. TRZY LATA W WIĘZIENIU PRUSKIEM.	55	40
659, 660, 661. Paul Adam. CZARNY WAŻ. Powieść	1.65	1.20
662 M. Bölsche. ZWYCIĘSKI POCHÓD ŻYCIA	55	40
663, 665, 667 M. Rakowska. ZARYS LITERATURY ANGIELSKIEJ	1.65	1.20
664. A. Wierbicka. MOTYLE. Przekład z rosyjskiego	55	40
666. Nesbit. DARY. Powieść.	55	40
668, 669 Szalom Asz. MIASTECZKO. Powieść z hebrajskiego	1.10	80

		CENA	
		wopr. brosz.	kop. kop.
670.	Karin Michaelis. BEATA ROSA. Powieść	55	40
671	672. Marya Rodziewiczówna. MAGNAT	80	1.10
673.	Szymon Tokarzewski. POŚROD CYWIL- NIE UMARŁYCH. Obrazki z życia Po- laków na Syberyi	55	40
674, 675, 676, 677.	Gabryela Zapolska. JANKA. Powieść	1.00	1.60
678.	Pöhn. KSIĘGA MĄDROŚCI ŻYCIA	55	40
679, 680.	Witold Szyszło. POD ZWROTNI- KAMI	1.10	80
681.	Zygmunt Różycki. FIGLE MŁODEGO SATYRA	55	40

Rok 1911.

682, 683.	Anatol France. PAMIĘTNIK MEGO PRZYJACIELA. Przekład z francus- kiego Zofii Wróblewskiej	1.10	80
684, 685.	Alexy Kurcyusz. BRĄZYLIA.	1.10	80
686.	Tadeusz Konczyński, ŚLADEM TĘSKNO- TY. Powieść	55	40
687.	Przerwa-Tetmajer. OTCHŁAŃ. Powieść	55	40
688, 689.	Alfred Binet. POJĘCIA NOWOCZE- SNE O DZIECIACH	1.10	80
690, 691.	PAMIĘTNIK HENRYKA DEM- BIŃSKIEGO generała wojsk polskich	1.10	80
692, 693.	Teodor de Wyzewa. GWALBERT, czyli opowiadanie młodego człowieka	1.10	80
694.	Pamiętniki ks. Maryi Wołkońskiej	55	40
695, 696.	I. Wazow. W WALCE O WOL- NOŚĆ, z bułgarskiego powieść	1.10	80
697—709.	Lew hr. Tolstoj. WOJNA I POKOJ. Rok 1812. Romans historyczny	6.00	4.00
710.	Konstancya Bielska. JEDENASTE PRZY- KAZANIE. (Nie będziesz miał serca)	55	40
711, 712.	Andrzej Lichtenberger. NASZA MI- NIA. Powieść. Przekład z francuskiego Wacławy Kiślańskiej	1.10	80
713.	Wiktor Gomulicki. DWA ROMANSE	55	40
714.	M. Helys. KWIATY Z ZAMKNIĘTEGO OGRODU. Szkice z życia kob. w Turcyi	50	40
715, 716.	Ks. d'Abrantés. CESARZOWA JO- ZEFINA. Pamiętnik z czasów I ce- sarstwa	1. 10	80

		CENA	
		w opr. brosz.	kop. kop.
717.	Juhani Aho. DO HELSINGFORSU. Powieść z fińskiego, tł. Klemensiewiczowa	55	40
718.	719. Rudyard Kipling. ZWODNE ŚWIATŁO. Powieść	1.10	98
720.	Józef Jankowski. MAGIA PIEKNOŚCI	1.10	75
721.	Zygmunt Michałowski. LISTY DZIKIEJ JADZI	55	40
722.	Jerome K. Jerome. UMIEJĘTNOŚĆ POSTĘPOWANIA Z KOBIETAMI	55	40

Rok 1912.

723.	E. Żmijewska. ZDALEKA I ZBLISKA	55	40
724.	K. Tetmajer. ZA WISZA CZARNY. Obraz dramatyczny	55	40
725,	726. M. Rodziewiczówna. NIEOSWOJONE PTAKI	1.10	80
727.	Ejsmond. BAJKI I PRAWDY	55	40
728,	729. W. Kosiakiewicz. GASIORKOWSKI.	1.10	80
730,	731, 732, 733. G. Zapolska. SZMAT ŻYCIA.	2.10	1.60
734.	M. Garzia. ZE ŚWIATA WEWNĘTRZNEGO ROZMYŚLANIA, przeł. z hiszpańskiego J. Lutosławska	55	40
735.	Brzostowski. ZE WSPOMNIEN O KRASZEWSKIM	55	40
736,	737, 738. Ignat Herrmann. TESC KONDELIK I ZIEĆ WEJWARA. Powieść	1.65	1.20
739,	740. Wł. Jagińkowski. NA BRZEGACH SENEGALU. Z przygód polskich na obczyźnie	1.10	80
741.	Pabst. WYCHOWANIE PRAKTYCZNE	55	40
742,	743. Ks. Radziwiłłowa (LUDWIKA PRUSKA. Rok 1770—1815). Pamiętniki	1.10	80
744,	745. Edmund Chojecki. (CHARLES-EDMOND) HARALD. Powieść	1.10	80
746.	A. Dygasiński. AS. Powieść	65	50
747.	P. A. Sinett. ŚWIAT TAJEMNY	55	40
748.	W. Rapacki (Senior). OBRAZKI Z PRZESZŁOŚCI	55	40
749,	750, 751. J. Kraszewski. NERA. Powieść	1.65	1.20
752—	760. Hr. Lew Tołstoj. ANNA KARENIINA. Powieść.	4.95	3.80
761—	763. M. Gawalewicz. DRUGIE POKOLENIE. Powieść	1.65	1.20

Tom.	CENA w opr. brosz kop. kop.	
764, 765. Selma Lagerlöf. ZWIĄZKI NIEWI- DZIAŁNE	1.10	80
766—768. Hr. de Ségur. PAMIETNIKI ADJU- TANTA CESARZA NAPOLENA I	1.65	1.20
769. L. Romocki. SZCZĘŚCIE ZBOSKICH. Kronika rodziny polskiej w XIX wieku	55	40
770. St. Kozicki. SPRAWA WSCHODNIA.	55	40
771. Józef Maciejowski. Z DZIENNIKA PEN- SYONARKI. Romans	55	40
772. Z Krasieński. WYBÓR POEZYZI	1.15	75

Rok 1913.

773. Włodz. Perzyński. PANI CZAJKOWSKA	55	40
774 — 775. Marya Rodziewiczówna. MIĘDZY USTAMI A BRZEGIEM PUHARU	1.10	80
776. Seweryn Bukar. PAMIETNIKI Z KOŃCA XVIII i POCZĄTKÓW WIEKU XIX	55	40
777—779. Gabryela Zapolska WE KRWI. Po- wieść współczesna	1.65	1.20
780. Julian Ochorowicz. ZJAWISKA MEDYU- MICZNE	90	75
781—783. Anna Vivanti. POZERACZE (I di- voratori). Powieść	1.65	1.20
784, 785. Hr. Sierakowski. LISTY Z PODRO- ŻY. 1) Podróż do Jerozolim. 2) Podróż do Włoch. 2 tomy	1.10	80
786, 787. J. Ochorowicz. ZJAWISKA MEDYU- MICZNE. 2 tomy.	1.30	1.00
788, 789. Kazimierz Przerwa-Tetmajer. ANNA MERY. Powieść. 2 tomy.	1.10	80
790, 791. PAMIETNIK LADY FRANCISZKI SHELLEY (1787 — 1817). Czasy wiel- kich wojen napoleońskich i przewrot- ów politycznych na przełomie dwóch wieków w oświeceniu ówczesnego dworu i wyższego towarzystwa angielskiego	1.40	1.10
792—794. K. Gliński. PAN FILIP Z KONO- PI. Powieść	1.65	1.20
795. G. Meyrs. JAK SIĘ DOCHODZI DO WIELKICH FORTUN	55	40
796. Z. Rabska. LISTY MIŁOSNE	55	40

CENA
w opr. brosz.
kop. kop.

797. W. Szyszło. WSROD MOCZAROW I JE- ZIOR FLORYDY	55	40
798. Hajota. ŚLUBNA OBRACZKA	55	40
799—804. Teodor Dostojewski. BRACIA KA- RAMAZOW	3.30	2.40
805 — 806. Adam hr. Sierakowski. LISTY Z PODROZY (Grecya, Hiszpania, Egipt)	1.10	80
807, 808, 810. G. Wells. HISTORIA P. POLLY (powieść)	1.65	1.20
809. M. Sizeranne. NIEWIDOMY O NIEWI- DOMYCH	55	40
811. Adolf Dygasiński. VON MOLKEN	55	40
812—813. Tad. Wyleżyński. BITWA POD LIP- SKIEM (Lützen, Bautzen, Lipsk)	1.10	80
814—815. H. Romer-Ochenkowska. MAJAKI	55	40
816. Alexander Kraushar. NEO-CYGANERYA WARSZAWSKA	55	40
817, 818. J. Ochorowicz. ZJAWISKA MEDYU- MICZNE	1.10	80
819. M. Kościelska. SNOBY. Powieść	55	40
820. Jan Kowerski. ROMANS PANNY JULII.	55	40
821. Ks. d'Albrantés. ROBESPIERRE.	55	40
822. D. Merezkowski. MICHAŁ ANIOŁ	55	40
823. Wacław Orłowski. KSIĄŻĘ JÓZEF PO- NIATOWSKI	2.50	2.00

Rok 1914.

824. M. Rodziewiczówna. FARSA PANNY HE- NI. 1 tom.	65	50
825. Gabryel d'Annunzio. DZIEWICZA ZIE- MIA	55	40
826, 827. Narcyz hr. Olizar. PAMIĘTNIK ORY- GINAŁA	1.10	80
828. Sewer. DLA ŚWIĘTEJ ZIEMI	55	40
829, 830. Julian Bartoszewicz. ZAMEK BIAL- SKI	1.10	80
831—832. M. Gawaiewicz. ĆMA.	1.10	80
833—835. DZIENNIK OSOBISTY KRÓLO- WEJ WIKTORYI	1.65	1.20
836. Włodzimierz Perzyński. NOCNA ZA- BAWA	55	40

Tom		CENA	
		w opr. brosz kop.	kop.
837.	Potocka. ŚWIECONE w domu, 1 tom	55	40
838—840	B. Kellerman. Tnnel powieść 3 tomy	1.65	1.20
841.	Aj Kraushar. DZIELNICA STAROMIEJ- SKA 1 tom	90	75
842.	K. Makuszyński. STRASZLIWE PRZYGO- DY 1 tom	65	50
843.	J. Ochorowicz. LIRYCZNA TWÓRCZOŚĆ POETÓW 1 tom.	55	40
844.	845. Koloman Mikszáth. PARASOL ŚW. PIOTRA powieść. 2 tomy	1.10	84
946.	847. DZIENNIK KAPITANA SCOTTA 2 tomy	1.20	—
848.	Sewer. MATKA powieść 1 tom	55	40
849.	850. Adam hr. Sierakowski. LISTY Z PO- DROZY (Tunis, Włochy, Sycylja, Krym, Kaukaz) 2 tomy	1.10	80
851, 852, 853, 854, 855, 856.	Dickens. WSPOLNY PRZYJACIEL 6 tomów	3.30	2.40

Istniejące od roku 1805

Zakłady Ogrodnicze

Skład Nasion,

SZKÓŁKI DRZEW, HODOWLA ROŚLIN

C. ULRICH

w Warszawie

Ceglana 11.

Adres telegraficzny: Culrich Warszawa

Adres telegraficzny: Culrich Warszawa

Polecają w wielkim wyborze:

NASIONA WARZYW
NASIONA KWIATÓW
NASIONA ROLNE
NASIONA TRAW
CEBULKI KWIATOWE

Drzewa owocowe w koronach
Drzewa i krzewy ozdobne
Drzewa alejowe i na solitery
Różeienne i krzaczaste.

SZPARAGI, TRUSKAWKI i POZIOMKI.

Narzędzia ogrodnicze i nawozy sztuczne

PALMY, PAPROCIE, AZALJE, BZY
i DRZEWA LAUROWE.

Sklep kwiatów—Wierzbowa 3.



G. Brzeziński i Syn

Warszawa, S-to Krzyska 15

wprost Włodzimierskiej.

WŁASNEGO WYROBU KUFRY, NESESE-
RY, TORBY, PASKI, PLECAKI, GALANTE-
RJA, SZELKI, OBUWIE PŁÓCIENNE,
PANTOFLE, KALOSZE, PRZYBORY POD-
RÓZNICZE, REPERACJE, OBSTALUNKI.

Instalacje elektryczne, żyrandole, lampki

BIURO URZĄDZEŃ ELEKTRYCZNYCH

Wacław Brygiewicz, Michał Zucker i S-ka

w Warszawie, Marszałkowska 119, tel. 37-40 i 274-84.

Pracownia i Magazyn wyrobów

SREBRNYCH

ZŁOTYCH i

z BRYLANTAMI

KAZIMIERZ

BRETSZNAJDER

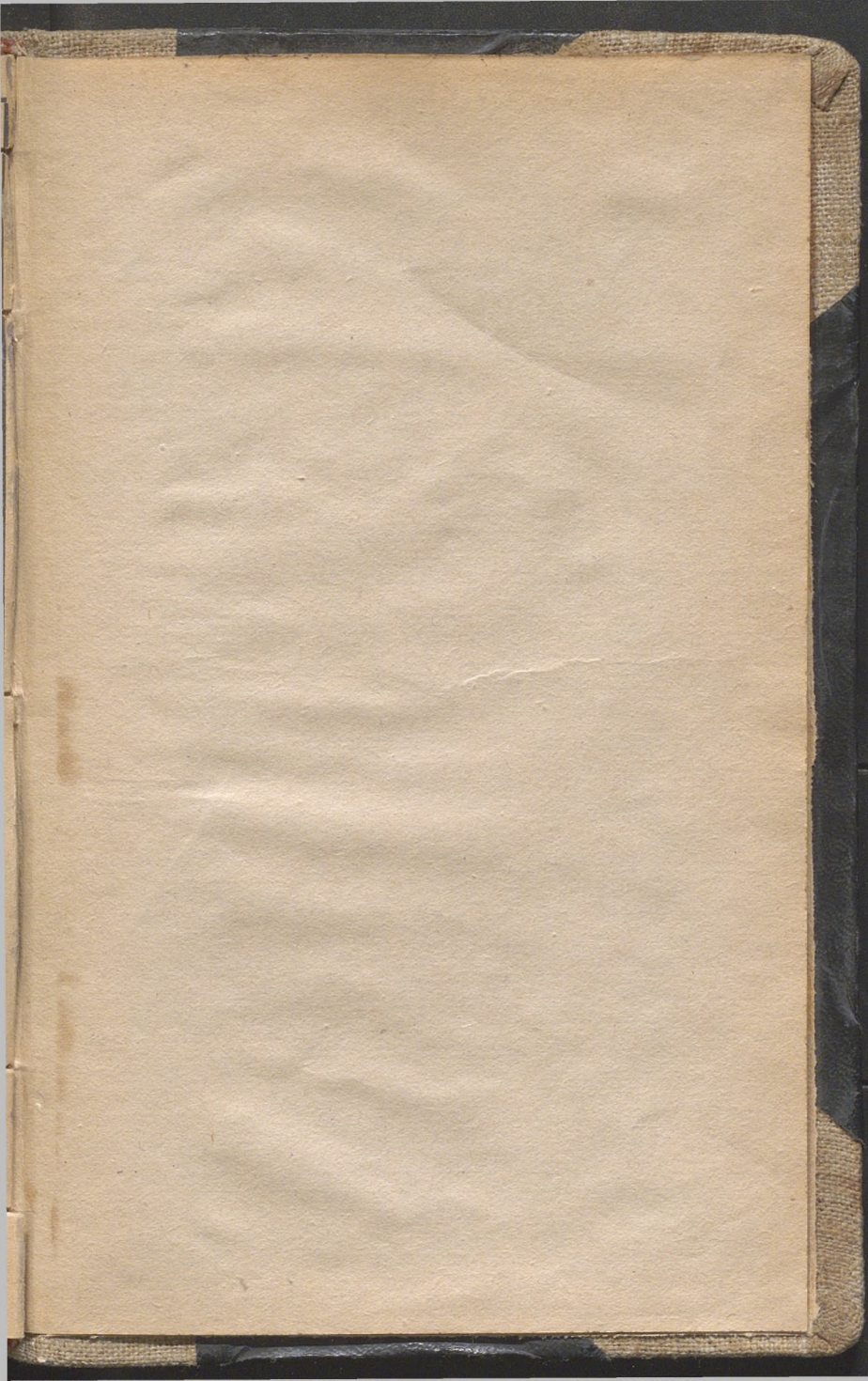
Warszawa, Marszałkowska 92.

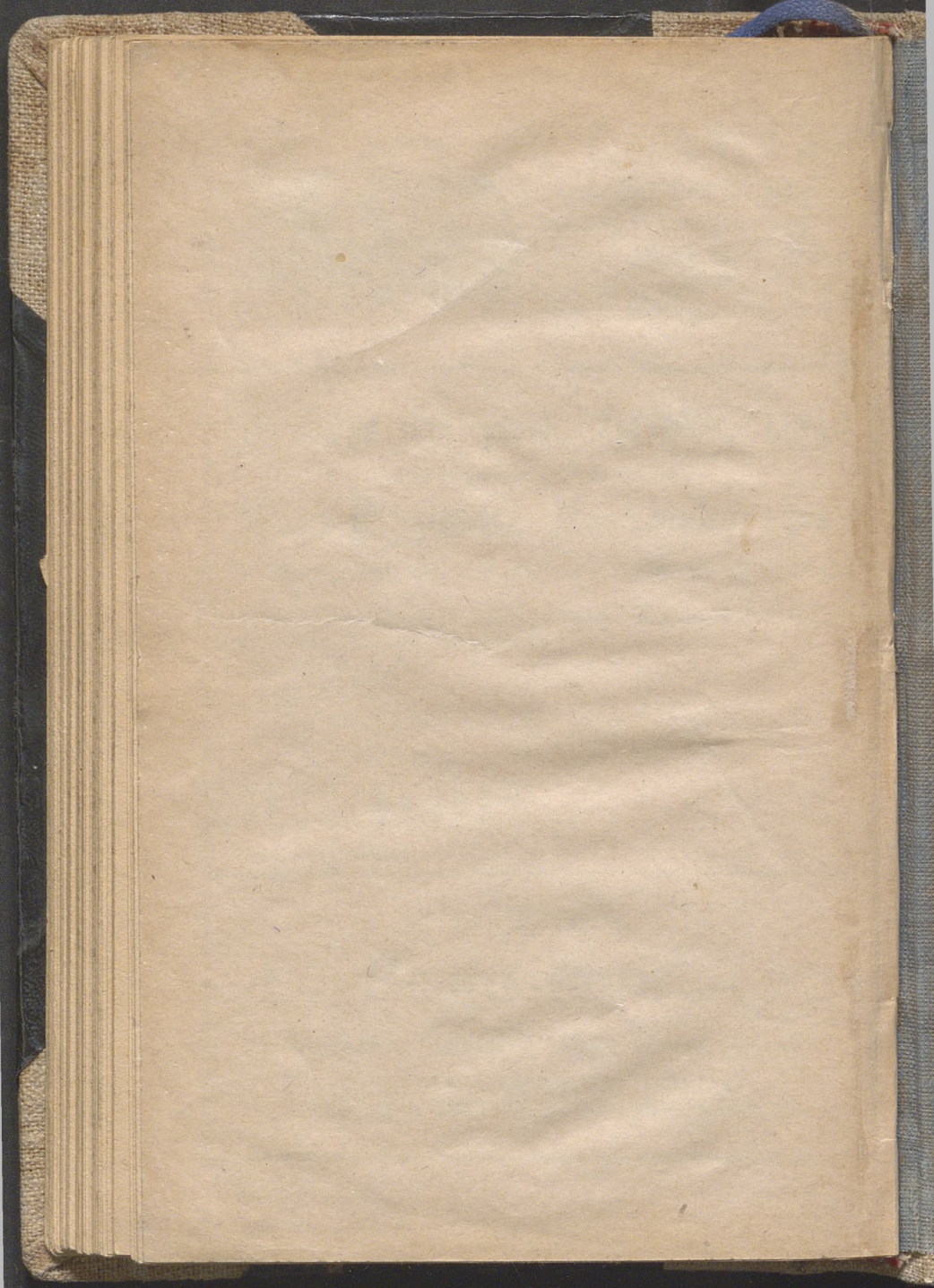
DRUKARNIA

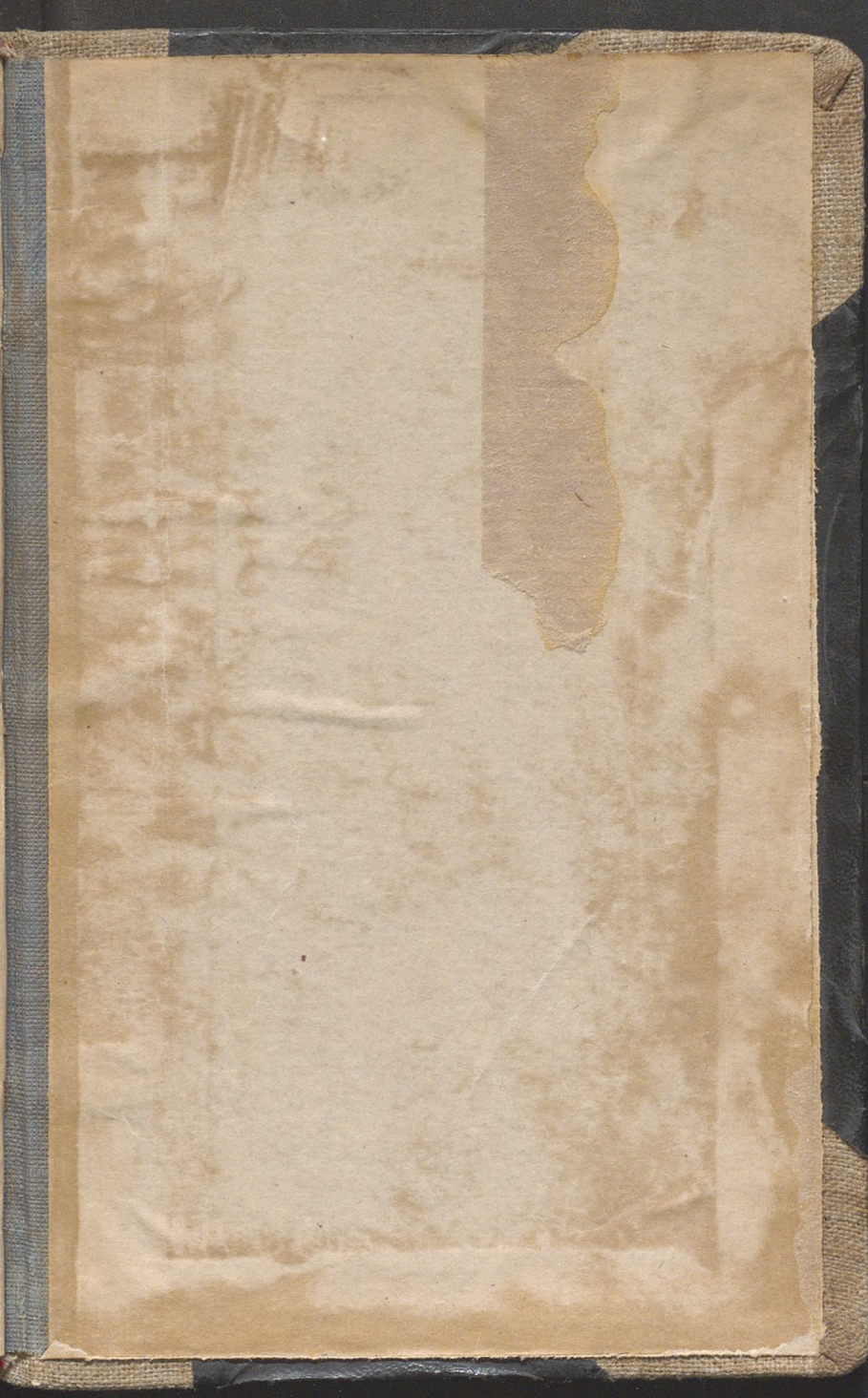
L. Bogusławskiego

Warszawa, Świętokrzyska 11, telefon 195-52.

∴ WYKONYWA WSZELKIE ROBOTY ∴
W ZAKRES DUKARSTWA WCHODZĄCE.









849453
